Nr. 37. Warszawa, dnia 30 Sierpnia (11 Września) 1897 r. Rok XVII.

# PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
**W Warszawie** miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 60, rocznie rs. 10.

***Adres: Nowogrodzka Nr. 39.***

**Administracya** otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
**Redaktor** przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
**Rękopisy** drobne nie zwracają się.

**Przedpłatę przyjmują**: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
**Sprzedaż pojedynczych numerów** po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.



*Szan. Abonentów kwartalnych prosimy o odnowienie przedpłaty.*

## POLITYKA.

### PRZYMIERZE FRANCYI.

Toast prezydenta Faure'a w Kronsztadzie obwieścił światu przymierze z potężnem mocarstwem północnem. Co tkwiło dotychczas w interesach, w pragnieniach, w towarzyskiem jedynie pożyciu, a w polityce na zewnątrz stwierdzało się tylko wspólnością poglądów na pewne sprawy ogólniejsze, jak chińsko-japońska, obecnie zaś turecko-grecka—to wychodzi teraz na jaw już w postanowieniach, w węzłach prawa międzynarodowego, które przeciwko potrójnemu przymierzu mocarstw środkowych wytwarzają przymierze podwójne mocarstw skrajnych. Obecny wraz z p. Faurem na odwiedzinach politycznych w Peterhofie i Petersburgu, p. Hanotaux, wyjeżdżał już z pewną nadzieją tego obfitego plonu, z jakim obecnie do Francyi powraca. Na tej nadziei nastrojona była zawczasu oziębła odpowiedź na skwapliwością i kornem oczekiwaniem przejęty toast cesarza niemieckiego w d. 7 sierpnia. P. Faure z ministrem swoim wyjeżdżał z Francyi już nietylko dla wywzajemnienia odwiedzin, ale na robotę polityczną, która mu się powiodła, tak, iż może ponowny swój wybór na prezydenta w tej chwili już za pewny uważać. Stał się mężem narodowym, wraca do kraju jako dobrze zasłużony ojczyznie — i on sam i jego minister.

Organ prezesa ministrów, Móline'a, *Soir*, upoważniony jest do doniesienia, iż w d. 25 z. m. podpisano formalny akt przymierza; nie określa przecież bliżej jego charakteru: nie wiadomo, czy jest ono zaczepnem, czy zaczepno-odpornem, czy też tylko odpornem, jak przymierze potrójne, gdzie wyraźnie wojna zaczepnie wszczęta przez jednego ze sprzymierzonych nie zobowiązuje drugiego do pomocy. Sam prezydent Faure charakteryzuje ważny akt międzynarodowy pośrednio, gdy mówi, że dwa zaprzyjaźnione i sprzymierzone ludy kierują się jednym wspólnym ideałem cywilizacyi, prawności i sprawiedliwości. Określenie takie jednak nie wystarcza do wyprowadzenia zarysu nowych, nowo-upostaciowanych stosunków. Cywilizacya ma lepsze czynniki i regulaminy od przymierzy politycznych; sprawiedliwość nie szuka dla siebie umyślnych organów w zgiełku i szczęku interesów politycznych, zespalających lub odpychających wzajem od siebie wielkie mocarstwa; prawowitość wreszcie, prawo, może mieć przy jednej i tej samej istotnej swej treści niejednakowe natężenie subjektywne, tak w żądzy samej, jak w środkach zapewniających jej urzeczywistnienie się zewnętrzne — jedynie poważny cel wszelkich robót politycznych.

Francya, która nie zapomniała jeszcze o Alzacyi, a myślą odwetu ciągle jeszcze rozwesela sobie wspomnienia „strasznego roku,“ pod „prawnością,“ wymówioną przez p. Faure'a, rozumieć może tylko taki stan przyszły, w którym prawo jej do tego, co utraciła, zaspokojonem będzie. Tak też zrozumiał Naród Francuski doniosłość aktu, podpisanego w d. 25 z. m., tak raczej zrozumieć ją chciał, bo mu jeszcze literalnego brzmienia umowy nie wyjawiono. Zawodność i niezawodność tej wiary raczej niż przekonania zależy od tego, czy przymierze jest tylko odpornem, czy też przypuszcza i działanie czynne dla danego celu — zaspokojenia prawa, przywrócenia sprawiedliwości, przez zabór Alzacyi pogwałconej? W pierwszym przypadku nic nie przeszkadza ogłoszeniu przed całym światem warunków tej spójni, która obecnie prawnie już łączy oba mocarstwa, a im wcześniej dokona się ujawnienie tajemnych dotychczas umów, tem lepiej i dla interesów samych umawiających się stron i dla polityki ogólnej. Będzie to tylko ułożenie się niejako do symetryi z Austro-Węgrami i Niemcami, które przed 9 laty już ogłosiły przymierze swoje z d. 7 października 1879 r. W drugim przypadku ogłoszenia nikt wymagać nie może, jak nikt nie ma prawa wyrzucać sprzymierzonym dziś mocarstwom, że nie ogłosiły konwencyi militarnej, która je od roku, może już już i od dawniejszego czasu, obowiązuje.

Francuzi wolą w danym wypadku milczenie, wolą skrytość swego urzędu do spraw zagranicznych, niż otwartość. Cierpieć będą dziennikarze, że nie wiedzą całej prawdy, ale właściwy im dar wynalazczości łatwo pokryje straty zrządzone przez oporną zasłonę przyszłości. Ujawnioną już teraz mogłaby być jedynie tylko spójnia obronna przeciwko zaczepiającym Niemcom; ale takie węzły nie wystarczyłyby dla ideału prawa i sprawiedliwości — dla odwetu.

Francuzi sami, własnemi tylko swemi siłami, na Niemców się nie porwą, jak nie porwali się dotychczas; Niemcy znowu nie ruszą pierwsi na Francuzów, bo *beati possidentes*: Alzacyę trzymają, i trzeba im ją wydrzeć. Przymierze zatem czysto obronne mogłoby zaspokoić dumę narodu, zabezpieczyć skutecznie ważne interesa Francyi, wzmocnić jej stanowisko międzynarodowe, ale nie zbliżyłoby chwili wymarzonej: odzyskania Alzacyi. Nie biernie wyczekiwać napadu, ale czynnie wystąpić potrzeba, chcąc odzyskać stratę narodową, i o ile nowa umowa zapewnia niezbędne do takiego wystąpienia warun-

ki, oczywiście, w tajemnicy pozostać musi. Jeżeli Francya warunków takich nie znalazła 'lub za życia dzisiejszego jeszcze pokolenia nie znajdzie, czas może wycisnąć straszliwą pieczęć swoją na krwawej zdobyczy niemieckiej, a wtedy już żadne marzenia, żądze, postanowienia odwetów i przymierza nie pomogą. Za lat dwadzieścia może już Alzatczycy sami nie zechcą wrócić do Francyi. Prawda, że Francya mimo to odzyskać będzie mogła Alzacyę: tak, ale już tylko prawem zaboru wbrew cywilizacyi, prawności i sprawiedliwości — i Alzacyę już tylko, nie Alzatczyków.

**Tydzień polityczny.** Dzienniki niemieckie usiłowały osłabić wrażenie toastów w Peterhofie i Kronsztadzie przypomnieniem, że jeszcze na kilka tygodni przed podróżą zapowiadano jakiś akt, wymierzony przeciwko Anglii: takim właśnie aktem ma być przymierze, podpisane d. 25 sierpnia. Nie chciano nic robić przeciwko Niemcom — dodają wynalazcy faktów za prawdziwe podawanych — opowiedziano się im nawet, co zrobić zamierzono; Wilhelm II się zgodził, i wtedy dopiero aktu owego przeciwko Anglii dokonano. Cała ta legenda dowodzi tylko, jak silnego lęku doznają Niemcy wobec przymierza. Wzmocniły im ducha odwiedziny królestwa włoskich w Homburgu, skąd cesarz dojeżdża do wojsk, odbywających strategiczne i taktyczne ćwiczenia. Na obiedzie d. 4 b. m., nazajutrz po przyjeździe gości, król Humbert wygłosił toast na cześć niewzruszoności trójprzymierza. „Umyślnie on przyjechał do Hamburga, aby dać nowy dowód serdecznej przyjaźni i sojuszniсtwa, łączących oba rządy i oba państwa.“ Zapewnienie takie było potrzebnem z powodu oporu radykalistów włoskich przeciwko samej podróży króla i pogłosek o poświęceniu traktatów politycznych z Niemcami i Austryą dla traktatu handlowego z Francyą. Królowi towarzyszy (do d. 8 wieczorem nie było wiadomości o wyjeździe) Visconti Venosta; z Berlina przyjechał Lanza, a Hohenlohe na umyślne wezwanie cesarza stawił się również w Homburgu. Prawdopodobną jest nowa robota dyplomatyczna, uzupełniająca trójprzymierze.

*Gaulois* podał treść przymierza francusko-rosyjskiego — z opowieści i posłuchów. Przymierze ma być czysto - odpornem; wciągnięto w krąg jego mocy i Danię. Francya winna ją flotą swoją osłaniać w razie napaści niemieckiej.

Narady p. Badeniego z prawicą, rozpoczęte d. 1 września, w d. 4 t. m. doprowadziły już do pewnego porozumienia się; szczegółów jego wszakże nikt jeszcze nie zna po za obrębem stron działających. Na pewne obostrzonym ma być regulamin Izby deputowanych. Na wielkim wiecu miast czeskich, odbytym d. 5 b. m., Herold i inni wskazali jako cel dalszych dążeń „samodzielność korony czeskiej w związku państwowym z Austryą,“ a może „w państwie związkowem austryackiem.“ Wiec uchwalił potrzebę rozciągnięcia rozporządzeń językowych na Szlązk. Czy pomyślał i o języku polskim? Równouprawnienie domaga się praw i dla niego. D. 5 b. m. cesarz przyjmował na długich, całogodzinnych posłuchaniach pp. Badeniego i Gołuchowskiego.

W Sofii zmiana ministrów; dwóch weszło zupełnie nowych, inni pozamieniali się na teki—*chassez-croisez*. P. Stoiłow pozostał u steru. Prócz niego czystych zachowawców jest jeszcze dwóch.

W Barcelonie anarchista Sampau-Barril wykonał w nocy d. 3 b. m. na placu publicznym zamach na urzędnika policyjnego, Portasa. Złożono odrazu sąd. Prokurator wniósł 40 lat ciężkiego więzienia. Wyrok jeszcze nie zapadł.

W Ameryce zamordowano prezydenta rzeczypospolitej Urugwaj, Borda.

## ŻYCIE SPOŁECZNE.

### O CZYSTOŚĆ MOWY.

Nasze pisma codzienne obrały sobie szczególny sposób publicznego nauczania czystości mowy polskiej. Oto na swych łamach prostują błędy językowe, popełniano przez różnych właścicieli sklepów, restauracyj, zakładów fryzyerskich, cukierni itd. Poprawianie błędów w mowie, wytykanie omyłek ortograficznych w piśmie jest rzeczą bardzo chwalebną ale tylko wtedy, gdy nauka jest skierowana bezpośrednio do tych, którzy nie umieją dobrze mówić i pisać. System, przyjęty przez naszą prasę codzienną, jest nietylko niestosowny, nietylko chybia celu, ale poprostu ma doniosłe znaczenie społeczne, jako czynnik wielce szkodliwy. Weźmy tę rzecz ze strony psychologicznej. Przypuśćmy, iż jakiś Rubinrot, właściciel cukierni, czyta w *Kuryerze*: „Nadesłano nam cennik pewnej fabryki cukierniczej z okolic Muranowa, przepełniony istotnymi cukierkami gramatyki i ortografii“ (czy ortografia nie należy do gramatyki? *Red.*). Pomiędzy innymi znajdujemy tam... (tu podano szereg błędów).

Po przeczytaniu tej notatki p. Rubinrot zżymnie ramionami i zawoła: „Czego oni chcą? Ja ich nie rozumiem!“ I ogłoszenie nadal pozostanie niepoprawione. Inny, dajmy na to jakiś Korngold, właściciel sklepu, przeczyta notatkę, ośmieszającą wyraźnie jego błędy. Powie sobie: „Poprawić nie umiem, dam innemu do napisania i nie będę wiedział, czy on dobrze to wykonał, czy nie popełnił jeszcze więcej błędów. Po co ja mam na śmieszność się narażać? Napiszę po żydowsku z tej strony, gdzie powinno być po polsku. Gazety mnie nie wyśmieją, bo nie umieją po żydowsku.“ Inny wreszcie, jakiś Szafir, mający pretensyę do ogłady, przeczytawszy w *Musze* lub *Kolcach* wydrwiwanie mowy polskiej w ustach żydowskich, powie: „Będę już mówił, jakimkolwiek innym językiem, będę go kaleczył jeszcze gorzej, niż polski, ale nikt mię nie wyśmieje, bo błędy w innych językach będą dla gazet obojętne.“

Teraz zastanówmy się, kto uczy czystości języka w ten sposób? Oto gazety codzienne, które zaśmiecają język polski, które są usiane tysiącami ohydnych karygodnych błędów, które patrzą swoje szpalty, prawie w każdem zdaniu, wyrazami obcymi: *Incydent, konflikt, panika* i wiele, wiele innych, które wybornie zastąpić można polskimi, powtarzają się codzień bez liku. Nawet na karcenie błędów w ogłoszeniach i napisach sklepowych ukuto z pogwałceniem prawideł grama-

---

18) W. DOROSZEWICZ.

## Na Sachalin.

### XXXVI.

*Ucieczka.*

Tak doskonale było wszystko przygotowane, tak pięknie urządzone i wszystko prysło jak bańka mydlana.

Powiedziałbym nawet, „tak dobrze obmyślane,“ jeżeli można nazwać obmyślanym ten najbardziej waryacki plan w świecie, który mógł się zrodzić tylko w głowie człowieka, pozbawionego zmysłów jeszcze na swobodzie.

Miejscem ucieczki obrano Singapore, z porady odesan.

Twórcami planu ucieczki są inni, ale „instruktorami“ — odesanie, „partya odeska,“ katorżnicy z więzienia tamecznego.

Podczas gdy inni są przekonani, że się znajdują „na morzach chińskich, na granicy Ameryki, pod samym równikiem, tj. pośrodku ziemi“ — odesanie więcej są obeznani z geografią.

Wszak to mieszkańcy nadmorscy, którzy to i owo słyszeli od marynarzy; być może specyalnie zbierali wiadomości.

Obrali Singapore, jedyny port, gdzie okręt staje w samej przystani, a więc ucieczka waryacka nie jest tak dalece bezmyślną.

Postanowiono wyłamać kraty, przez korytarz wzdłuż burty dostać się do drzwi, prowadzących na pokład i przez burtę pod gradem kul, pod gorącymi strumieniami pary wyskakiwać na przystań.

Uciekać do Indo-Chin bez grosza, bez znajomości języka, kraju, obyczajów, bez oręża, w jednych tylko zgrzebnych koszulach aresztanckich.

Takie plany mogą powstawać tylko w głowach ludzi, którzy swobodę cenią drożej, niż życie.

Inicyatorami oczywiście byli długoterminowi i bezterminowi, ludzie, którzy przed sobą nie widzą najmniejszego promyka nadziei; żyją tylko jedną myślą, pałają jednem pragnieniem: uciec! Jak, kiedy i gdzie — wszystko im jedno, byle tylko uciec.

— Gorzej nie będzie!

Ucieczkę postanowił oddział drugi. Tutaj oprócz odesan, posiadających znajomość geografii, jest kilku ludzi „odpowiednich.“

Są tacy, których na Sachalinie czeka chłosta i katorga dwudziestoletnia.

Jest jeden, który już uciekał z Sachalinu, który z pięciu towarzyszami przepłynął na belce cieśninę Tatarską na południu, gdzie nawet żegluga parowca nie należy do bezpiecznych.

Gdy go pytają:

— Dlaczegóż nie przeprawiliście się na północ? Tam cieśnina węższa.

— Bardzo daleko trzeba iść, wielmożny panie. Nie chciałem koła robić.

Jest pewien Kaukazczyk, który zaglądał śmierci w oczy tak blizko, jak mało komu zdarza się zaglądać.

Za rozboje i morderstwa skazano go na śmierć przez powieszenie.

Przyprowadzono na miejsce kaźni, postawiono pod szubienicą. Kaci przygotowali się już do „roboty.“

Wprowadzono go na pomost, włożono koszulę śmiertelną, nawet pętlę na szyję nałożono.

Uderzono w bębny.

I w takiej to chwili oznajmiono mu, że karę śmierci zamieniono na katorgę dożywotnią.

Są tutaj i tacy, których zdejmowano ze sznura, przyczepionego do krat, wentylatora lub drzwi w celi więzienia etapowego.

Są i włóczęgi, którzy zdeptali całą tajgę, spotykali „kosmatego“ i uciekali od „pasiastego“ *).

Takich ludzi trudno przestraszyć kulą, bagnetem, zatrzymać nieznajomością. Oni to wszyscy postanowili urządzić ucieczkę zbiorową w liczbie 20.

* * *

*) Niedźwiedzie, tygrysy.

tycznych obydny wyraz *znakologia!* Za to jedno należy się pismom chłosta niemiłosierna. A jakaż obfitość śmieci stylowych i wogóle błędów trudnych do przebaczenia, wynikająca bądź z nieznajomości gramatyki, ducha mowy, bądź nawet — geografii! Następnie budowa przymiotników, zupełnie niezgodna z formami gramatyki polskiej: petersburgski, rygski, zamiast petersburski, ryski. Wreszcie nadużywanie ortograficznego błędu *ch*, zamiast *h*: *ch*ołota, *ch*odowla itd. Błędy takie przejmują ludzie nieoświeceni lub mało oświeceni i nawet nazwiska swe przekręcają. Czytaliśmy gdzieś na szyldzie i w ogłoszeniach: Sapiec*h*a. Czy to nazwisko brzmi tak istotnie, czy też pierwotnie było: Sapie*h*a?

Podaliśmy tych kilka błędów dla przykładu. Nie możemy wyłowić i podać tu wszystkich najważniejszych, codziennie popełnianych w pismach naszych, bo nie starczyłoby na to całego numeru *Prawdy*.

I oto tacy krzewiciele śmieci językowych poczuwają się do obowiązku obywatelskiego: czyszczenia języka na znakach i w ogłoszeniach sklepowych! Błędy te, którymi są ubrane ściany gorszych dzielnic naszego miasta, istotnie szkaradne i należałoby co rychlej usunąć je, ale nie za pomocą tego szczególnego prześladowania na szpaltach dzienników! Ludzi, mówiących i piszących u nas językiem czystym jak źródło, jest bardzo mało. Mówiących i piszących, a raczej starających się mówić i pisać poprawnie, jest już znacznie więcej. Otóż zamiast szydzić z błędów cudzych i jednocześnie popełniać je u siebie, należałoby z tych ludzi, znających język dobrze i wrażliwych na jego kalectwa, stworzyć „Towarzystwo czystości mowy,“ którego zadaniem byłoby przedewszystkiem dostarczanie dobrych korektorów redakcyom i drukarniom, zaczynając od pierwszorzędnych do najpodrzędniejszych. Tylko taka działalność może być płodną, pożyteczną i chwalebną. Podajemy tę myśl całkiem poważnie i czekamy oddźwięku śród tych, którzyby poczuwali się na siłach do przyjęcia tego obowiązku obywatelskiego.

## LISTY PETERSBURSKIE.

Nastrój Polaków w oświetleniu prasy rosyjskiej. — Uwagi trzeźwiące *Swieta*. — Siły nauczycielskie i nieodpowiedni ich wybór. — Katedry uniwersyteckie i kursy przestarzałe. — Prywat-docenci. — Kolonizacya rosyjska w kraju północno-zachodnim.

Prasa rosyjska z powodu odwiedzin Warszawy przez Najjaśniejszych Państwa wypowiedziała mnóstwo ciekawych i znamiennych uwag o obecnym nastroju Polaków, o ich dążnościach i marzeniach politycznych. W ogóle przeważa ton przyzwoity, więcej jest uznania dla różnych cech narodu polskiego, niż dawnej zaciętości i uprzedzenia. Takie usposobienie prasy oczywiście jest przelotne, zależne od chwili. Śród tych głosów są także i uwagi trzeźwiące dla ludzi ożywionych nadziejami. Tak np. *Swiet* pisze: „Co do wewnętrznej polityki naszej, bieg jej ani na trochę i w żadnym wypadku nie wyszedł z łożyska, do którego skierował ją stanowczy iście rosyjski rozum spoczywającego w Bogu Cesarza Aleksandra III. Zasady tej absolutnie rosyjskiej polityki narodowej znane są dobrze wszystkim kresom ziemi rosyjskiej i wszystkim zaludniającym je narodowościom. Kresy są żywym organem całego organizmu państwowego, tem samem więc nie może być mowy o odrębnym jakimś specyalnym rozwoju. Takimi więc powinny być zachodnie kresy państwa rosyjskiego, które nazywamy obecnie „Krajem Przywiślańskim“ w odróżnieniu od dawnego Królestwa Polskiego lub Polski. W pojęciach naszych niema już Polski, lecz są rosyjskie gubernie przywiślańskie z przeważającą ludnością polską, która ze względu na swe prawa i monarsze o niej starania jest zrównana ze wszystkiemi innemi wyznaniami. Nie chcemy w chwili obecnej zastanawiać się nad wyobrażeniami samych Polaków i nad tem, o ile pojęcia te zgadzają się z naszemi, lecz sądzimy, iż wzrastające znaczenie Rosyi nie może nie mieć wpływu na stan umysłów polskich, skłonnych zawsze do lubowania się wspaniałością i potęgą.

W pewnej części inteligencyi polskiej istnieje niewątpliwie dążność do pojednania z nowymi warunkami politycznymi i uznania ich nawet za *dobrodziejstwo*. Należy się spodziewać, że rozum weźmie w końcu górę nad „marzeniami,“ jak się wyraził w mowie do Polaków Aleksander II. W części staje na przeszkodzie politykomania, przyczem przywódcy polonizmu, zamiast przemawiać prosto i jasno, jak przemawia np. margrabia Wielopolski, pragną znaleźć nowe drogi, aby niemi wprowadzić konia drewnianego do Ś-tej Troi... Nie marzą oni otwarcie o politycznej niezależności Polski, uważają bowiem ją za rzecz niemożliwą i niedościgniona, lecz natomiast wymyślili jakąś niezależność „etnograficzną.“ Mówiąc jaśniej, jest to domaganie się języka, literatury, praw obyczajowych, słowem wszystkiego, co wyodrębnia narodowość. Z drugiej strony publicyści polscy zaznaczają silnie swe pretensye do równouprawnienia cywilnego. Nie chodzi tu naturalnie o równość w obliczu prawa, które jest udziałem wszystkich poddanych, lecz o zbliżenie ich do steru rządów, od którego dotąd usuwano w wielu miejscowościach żywioł polski. Słowem, uznając zręczność, z jaką publicyści polscy pragną wprowadzić klasycznego konia do Ś-tej Troi, nie widzimy jeszcze, jak dotąd, konieczności otwierania przed nim naościeź bramy.“

*Swiet* myli się w przypuszczeniu, że ta część społeczeństwa polskiego, która dąży do zespolenia zupełnego z żywiołem rosyjskim, ma za sobą konia trojańskiego. Już sam program tego zespolenia jasno dowodzi, iż rzesza owa niesie sztandar „ugody“ z jedną myślą służenia wiernie systemowi, dążącemu do asymilacyi.

Z uwag *Swieta* godna zaznaczenia jest jedna, której nigdyśmy się nie spodziewali od tego organu: przyznaje on, że dotychczas żywioł polski usuwano od steru rządów. Usuwano istotnie nietylko ze szkodą materyalną dla społeczeństwa polskiego, które wiele dziedzin pracy ma

---

Ale czałdoni *) nie wytrzymali.

Śród nich są tacy, którzy w stosunku do przewinienia innych idą za błahostkę.

Są tacy, którzy marzą o „nowem życiu“ na nowej ziemi, o życiu porządnem, pracowitem.

Są tacy, którzy oczekują żon i dzieci.

Tacy ludzie nie życzą sobie wcale iść pod strumienie pary, kule i bagnety, ani uciekać, gdzie oczy poniosą, na śmierć głodową.

Czałdoni zdradzili.

Kilku ludzi pod jakimś pozorem poprosiło o wypuszczenie z oddziału i opowiedziało władzy cały plan.

Imion ich naturalnie nikt nie zna.

Katorga nie przebacza takich rzeczy; ma ona na to jeden wyrok:

Śmierć!

I tylko na jedno pytanie czałdoni stanowczo nie chcieli odpowiedzieć:

— Imiona winowajców?

— Wszyscy!

Czałdoni nie są zdrajcami śród siebie. Są to ludzie, którym coś jeszcze pozostało w życiu i którzy drżą o to „coś.“

* * *

Dokładne śledztwo stwierdziło całą prawdę, zakomunikowaną przez czałdonów, więc w chwili gdy zbliżamy się do Singapore, parowiec stał się podobnym do beczki z prochem.

Wzmocniono straż, zwiększono liczbę posterunków.

Szyldwach na korytarzu ma placówkę, której nie można pozazdrościć. Uzbrojony tylko w rewolwer.

Musi stać w tak wązkiem przejściu, że w razie potrzeby nie można poradzić sobie z karabinem.

Szyldwach schodzi po schodach okrętowych, a za nim drzwi się zamykają.

Jak nieprzyjemnie musi mu dźwięczeć w uszach zgrzyt klucza.

Ściana boku okrętu i kraty, które ma wyłamać dwustu ludzi, a wyjście jedno, którego w żadnym razie nie otworzą! Te właśnie drzwiczki, które zamknięto za szyldwachem, to główna nadzieja aresztantów i w rzeczywistości jedyne zbawienie dla parowca.

Ażeby je wyłamać, potrzebny jest nacisk pięciu lub sześciu ludzi. Ze spodu prowadzą do nich tak wązkie i kręte schody, że więcej niż dwu wyjść na górę jednocześnie nie może.

I oto proszę wyobrazić sobie zdumienie aresztantów którzy spostrzegli szyldwachów w miejscach niezwykłych.

Gdzie tylko spojrzeć, wszędzie straż

I gdy przepływamy tę zatokę kwitnącą, która prowadzi do Singapore, ludzie, patrzący z wysepek podobnych do kłębów kwiecistych, wyrosłych na morzu, mogą nas wziąć za okręt wojenny.

Na brzeg nie wypuszczają ani straży, ani felczerów. I felczerzy mogą się przydać...

Nadzór wzmocniono.

Daje się odczuć ogólne napięcie nerwowe.

* * *

Gdym wrócił na parowiec i zajrzał do otworu pokładowego oddziału drugiego, spostrzegłem leżących na tapczanach aresztantów pochmurnych i zamyślonych.

Smutek przeświecał im w oczach.

Nie było słychać ani gwaru, ani rozmowy, ani śmiechu.

Nie śmiano się nawet z tubylców, których można widzieć przez okienka. Nie kupowano owoców, na które aresztanci pod zwrotnikiem zwykle są tak łapczywi.

Wszyscy byli pogrążeni w ciężkiej zadumie.

Ucieczka nie udała się. Ktoś zdradził.

W rzeczywistości czałdoni ocalili przed zagładą tylu ludzi.

Uciec nie mogliby, policya miejscowa pojmałaby wszystkich i przyprowadziła na parowiec.

Zginęłoby przytem wielu.

*) krótkoterminowi.

przed sobą zamkniętych, ale także ze szkodą ogólnych interesów państwa, które przecież powinno cenić siły, zdolności i rzetelność jednostek. Następnie chcę jeszcze to podkreślić, że wogóle po za obrębem spraw narodowościowych byłby wielce pożądany staranniejszy wybór sił nauczycielskich do szkół wszelkich kategoryj. Obecnie przeważną większość katedr zajmują ludzie zupełnie niezdolni do tych zadań. Od dobrego pedagoga w wysokim stopniu zależy rozwój umysłu i postępy młodzieży. Tymczasem dzisiaj ludzie niedbali i niezdolni ociężali rutyniści zagważdżają głowy i zniechęcają do nauki tę młodzież. Niewątpliwie znaczny procent wykolejonych powstał z tej przyczyny. Obsada katedr uniwersyteckich również nie zawsze jest staranna i odpowiednia. Nawet we wszechnicach wybitniejszych wielu profesorów z roku na rok posługuje się kursami niegdyś opracowanymi, przez całe lat dziesiątki. Nauka robi postępy, rozszerza swoje widnokręgi, wzbogaca się nowemi zdobyczami, a kurs przestarzały jakiejś gałęzi nauk humanitarnych lub społecznych pokutuje ciągle w audytoryum, wtłaczany w kajety i głowy studentów. I oto z ławek uniwersyteckich wychodzą częstokroć ludzie zacofani, z ciasnym poglądem na świat, jego życie i zjawiska. Tylko umysły ruchliwsze, obdarzone większą samodzielnością, wyrabiają w sobie zmysł krytyczny i po za katedrą starają się zgłębić oraz poznać gruntownie daną gałąź nauki, bezpośrednio z literatury poważnej. O ileż byłaby ta robota ułatwioną, gdyby sami profesorowie starali się iść w ślady... swych uczniów tej kategoryi!

Pokrewną kwestyę niedawno poruszyły *St. Peterb. Wied.*; poświęciły osobny artykuł prywat-docentom. Pismo to zaznacza, że w cyrkularzu ministeryalnym z r. 1885 obiecano nową ustawę, która miała prywat-docentom dać możność, bez osobnych zabiegów i oczekiwań miejsc wolnych, ujawnić swoją wiedzę i zdolności pedagogiczne. Mieli się do tego przyczynić kursy, przeznaczone dla studentów według ich woli, oraz honorarya przez nich opłacane. Profesor bez pensyi, poprzestający tylko na takiem honoraryum, ma wielkie i trudne zadanie, musi bowiem zjednywać sobie odpowiednią liczbę słuchaczów. Powodzenie w tej mierze jest wybornym probierzem zdolności profesora. Zyskać mogliby na tem i słuchacze, zwłaszcza na wydziale medycznym, gdzie bywają audytorya niemożliwie przepełnione. Wpłynęłoby to wreszcie na podniesienie wartości wykładów i ich ożywienie.

Niestety, próba po ogłoszeniu cyrkularza ministeryalnego nie powiodła się. Honoraryum stało się kością niezgody między prywat-docentami, niebiorącymi udziału w sprawach uniwersyteckich, a profesorami rzeczywistymi, mającymi prawo głosu. Spółzawodnictwo pierwszych zrobiło to, że profesorowie pozostawali częstokroć bez słuchaczów, a natomiast ściągali na swoje wykłady wielką ich liczbę, zapewniającą znaczny dochód. Wypadki takie szczególnie się ujawniły na wydziale prawnym uniwersytetu petersburskiego, gdzie w roli prywat-docentów wystąpili ludzie, którzy już sobie wyrobili przedtem sławę, jakiej nie posiadają profesorowie zwyczajni. Otóż dzięki zabiegom tych ostatnich, wydział postanowił, ażeby studenci składali opracowania tylko na ich ręce. Taka nieograniczona władza profesorów zwyczajnych podkopała stanowisko moralne i materyalne prywat-docentów. Nadto profesor może im nie pozwolić na wykład w laboratoryum, gabinecie itd. Tym sposobem docent prywatny pozostaje bez pomocniczych środków wykładu i musi ustąpić ze swego stanowiska. Stosunek bardzo się zaostrza w takich wypadkach, gdy docent prywatny jest współzawodnikiem profesora, zajmującego stanowisko dziekana, od którego zależy dopuszczenie do katedry. Oczywiście wobec takiej przewagi wpływu profesorów zwyczajnych, prywat-docenci w roli powyżej wskazanej upadli, wbrew życzeniom i postanowieniom ministeryum. Niefortunna jednak próba może sferom sterniczym podsunąć wskazówki w celach lepszego zabezpieczenia stanowiska prywat-docentów.

W ostatnich czasach coraz bardziej uwaga publiczna społeczeństwa rosyjskiego, prasy i administracyi zwraca się ku prowincyom nierdzennie rosyjskim. W szeregu wielu zjawisk społecznych i ekonomicznych przyszła kolej i na kolonizacyę tak zwanego kraju północno-zachodniego. W czynie usiłowania i zabiegi na tem polu datują się już oddawna. Przed kilku tygodniami *St. Peterb. Wied.* ujawniły niepowodzenie tych usiłowań. Na utrwalenie tam ludności rosyjskiej w ciągu czterech lat po powstaniu, według rachunku organu powyższego, wydano 110,000 rs. Wraz z wartością samej ziemi suma ta urosła do 600,000 rs. Ogółem w kraju północno-zachodnim założono 165 wsi rosyjskich, w których było 1,200 gospód; gruntu zaś należało do nich 18,000 dzies. Według badań, dokonanych w r. 1881, okazało się, że prawie $^1/_3$ tych gospodarstw zniknęła zupełnie. Przyczynę tego zjawiska *St. Peterb. Wied.* upatrują w braku odpowiedniego systemu kolonizacyi, na co już przed kilku laty zwrócili uwagę generał-gubernatorowie wileński i warszawski.

Wogóle fakty wykazują, że kolonizacya ta rozwijała się bardzo opornie, skutkiem licznych omyłek. „Tak np. postanowiono ziemię wolną oddawać wyłącznie przesiedleńcom prawosławnym, tymczasem w samej tylko gub. Kowieńskiej z 7,000 osadzonych tam żołnierzy dymisyonowanych, prawosławnych było tylko 500, reszta zaś — katolicy i luteranie. Przy końcu ósmego dziesięciolecia w guberniach litewskich było tylko 2,000 rodzin przesiedleńców; później zaś stwierdzono, że na własnych gruntach mieszka zaledwie 1,200 rodzin, inni zaś sprzedali swą ziemię Żmudzinom, a sami przenieśli się do gub. Mohylewskiej i Witebskiej."

Przyczynę takiego obrotu rzeczy pismo upatruje w nieprzyjaznych warunkach kolonistów, zwłaszcza w miejscowościach, przylegających do Prus, gdzie przybyszom dano mało ziemi ze skrawków byłych ferm rządowych, rozrzuconych w różnych miejscowościach. Nadto, podobno otrzymali oni liche grunty, znacznie odległe od gospód. Wreszcie rozdawano ziemię różnym inwalidom, żołnierzom, mieszczanom i wogóle ludziom niezdatnym do gospodarstwa rolnego. Otóż obecnie postanowiono zmienić system kolonizacyi. Między innemi przybysze mają być zabezpieczeni od styczności z wrogo usposobionymi Żmudzinami. Zdaje się jednak, iż nieprzezwyciężoną przeszkodą na zawsze będą warunki kulturalne i różne formy bytu społeczno-ekonomicznego zupełnie inne, niż w stronach rodzinnych kolonistów. Fakty stwierdziły, iż ludność z gubernij środkowych i wschodnich bardziej cięży ku dalszemu Wschodowi. Z tego względu większe widoki powodzenia może mieć kolonizacya zauralska, umiejętnie zorganizowana.

*Paweł Krzyżanowski.*

## WIĄZANKA KRAKOWSKA.

Gimnazyum żeńskie. — Osobna wystawa. — Towarzystwo pedagogiczne. — W fabryce cygar — Stowarzyszenie zawodowe kobiet pracujących.



Z otwarciem gimnazyum żeńskiego weszła kwestya kobieca w Galicyi na nowe tory: brak szkoły średniej uniemożliwiał odpowiednie przygotowanie i utrudniał kobietom przystęp do uniwersytetów. Wzorując się na zakładach wiedeńskim, praskim i berlińskim, postanowiono i w Krakowie rozłożyć naukę w gimnazyum na lat 4. Szkoły wydziałowe dają bowiem uczenicom dostateczne przygotowanie, skorzystano więc z tego w ten sposób, że otwarta (r. z.) klasa pierwsza gimnazyum żeńskiego odpowiada piątej męzkiej, poświęcono tylko więcej czasu na naukę języków starożytnych i matematyki. I tak: kurs łaciny — 6 godzin tygodniowo — równa się dwom klasom gimnazyum męzkiego; w matematyce dochodzą uczenice do równań pierwszego stopnia. Gimnastyce poświęcono też więcej czasu, niż w innych zakładach żeńskich. Uczennice zwiedzały również fabryki, pamiątki historyczne, robiły wycieczki w okolice miasta. Z nowym rokiem szkolnym przybywają dwie klasy: przygotowawcza i druga; w pierwszym roku było uczenic 31, z tych jedna ubyła, nie mogąc z powodu zbyt młodego wieku podołać zadaniu, z pozostałych tylko 3 przeznaczono do egzaminu poprawczego, reszta wstąpiła do klasy wyższej.

Nowością dla Krakowa była też „Osobna wystawa." Przyjęli w niej udział znakomitsi młodsi artyści: Augustynowicz, Aksentowicz, Chełmoński, Dębicki St., Falat J., Kurzawa, Makarewicz, Malczewski, Masłowski, Mehoffer, Pankiewicz, Kazimierz Pochwalski, Stanisławski, Szymanowski, Tetmayer, Wyczółkowski i Wyspiański. Prac było ogółem około 60; szczególną pięknością odznaczał się *Chrystus* Wyczółkowskiego i *Sarkofagi*, Augustynowicza ogromnych rozmiarów portret kardynała Sembratowicza. Malczewskiego *Adam Asnyk* zastanawiał, jak każdy obraz tego artysty — oryginalnością pomysłu, raził (niektórych) zbytnią jaskrawością kolorytu. Natomiast zachwycała wszystkich *Orka* Chełmońskiego. Pierwszy też raz widzieli Krakowianie prace Stanisławskiego. Są to przeważnie obrazki drobne, przedstawiające różne pory dnia i roku: zżęte zboże w polu, spalony słońcem kawał stepu, samotne lilie wodne itp. Pierwsza ta próba osobnej wystawy przeszła najśmielsze oczekiwania.

Nie nowem bynajmniej jest zachowanie się władz wobec nauczycielstwa ludowego. Do żadnego z licznych i słusznych żądań nie raczą się one przychylić. Obecnie nawet na prośby, wniesione przez Towarzystwo pedagogiczne do Sejmu, wydział nie raczył nic odpowiedzieć. Żądano zaś zniżenia nauczycielom ludowym lat służby z 40 na 35; od Rady szkolnej krajowej, aby nauczyciela bez powodu i bez jego woli nie przenosiła; od sejmu—zmiany ustawy szkolnej, dotyczącej pięcioletnich dodatków, polepszenia bytu, lepszego uposażenia wdów i sierot po nauczycielach, zastosowania ustawy emerytalnej urzędników państwowych do nauczycieli szkół ludowych, zniżenia obowiązkowej liczby godzin szkolnych z 30 na 24, unormowania wynagrodzenia za naukę robót ręcznych kobiecych.

Żadna z tych spraw nie została jednak przychylnie załatwioną, wiele pozostawiono zupełnie bez odpowiedzi. Towarzystwo pedagogiczne, które mogłoby być potęgą, gdyby było odpowiednio zorgani-

zowanem, jest obecnie tak nic nie znaczącem, że władze się z niem nie liczą. Działalność swą usiłuje ono zaznaczyć na zewnątrz. ale jest ona bardzo słabą i nikłą. Utworzyło ono biuro informacyjne, udzielające członkom wskazówek we wszelkich sprawach, mających związek ze szkolnictwem. Rozdano w minionym roku tytułem zapomóg koleżeńskich 487 zlr., zaś z funduszu hr. Stanisława Badeniego 8 zapomóg po 25 zlr.! Chcąc funduszowi burs przysporzyć dochodów, starał się zarząd Towarzystwa rozwinąć jak najszersze pośrednictwo między swymi członkami a Towarzystwem ubezpieczeń; dotychczas bowiem mogło wypłacać tylko 20 nauczycielom stypendya bursowe po 50 zlr. rocznie dla ich dzieci.

W tutejszej fabryce cygar pracuje 800 robotnic po 10 godzin dziennie za nędzną zapłatę. W ostatnich tygodniach zarząd sprowadził maszynę do robienia papierosów, wobec czego robotnice zaniepokoiły się. Dozorcy podsycali to wzburzenie, najgrawając się, że z nadejściem maszyny wszystkie pójdą „na spacer." Gdy maszyna nadeszła, nastąpił wybuch: robotnice rzuciły się na nią i uszkodziły, potem zaprzestały pracować. Nie nie mogło je skłonić do podjęcia robót, sprowadzono wojsko, ale i to nie pomogło: robotnice zachowywały się spokojnie, ale nie chciały ani pracować, ani opuścić zabudowań fabrycznych. Po długich konferencyach i naradach wysłano deputacyę, która przedstawiła zarządowi warunki: 1) żadna robotnica nie straci pracy z powodu zaprowadzenia maszyny, 2) żadnej nie będzie zniżona dotychczasowa płaca i 3) żadna nie zostanie wydaloną. Dyrekcya przyjęła te warunki, robotnice powróciły do zajęć, lecz wytoczono śledztwo z powodu zajść w fabryce mimo to, iż dyrekcya przyrzekła i zobowiązała się słowem honoru nie czynić tego.

Zawiązało się ogólno-zawodowe stowarzyszenie kobiet pracujących w Krakowie.

*Ar.*

## MIĘDZYNARODOWY WIEC ADWOKATÓW.

Bezsłoneczną i nieponętną jest dola adwokata u nas. Zamknięta w szarych ścianach dekasteryj sądowych, opancerzona tą samą zazwyczaj ilością i jakością paragrafów prawa i rozporządzeń administracyjnych, przędzie ona pajęczynę dni swoich. Płynie po tej samej, równej powierzchni niezmiennego żywota, nie po spienionej fali przemian i przeobrażeń, postępu i reakcyi. Nie strzela błyskawicami powodzenia, nie zawisa na widnokręgu spraw życiowych tęczą zasług społecznych, nie spala się w krwawym płomieniu bohaterstwa, albo przeciwnie nie zapada się w otchłanie Styksu i Lety, w ciemne przepaści zapomnienia zasłużonego. Jakże innymi są wzory stosunków angielskich, francuskich, belgijskich, włoskich! Nie mówimy już o sferze działalności właściwej, zawodowej. Pojęcie „prawnika" nie rozróżnicuje się w Anglii np. na adwokaturę i magistraturę sądową; granice pomiędzy tymi spokrewnionymi zawodami są niewyraźne i uzupełniają się wzajem w razie potrzeby. *Barrister* z chwilą otrzymania nominacyi, a właściwie z chwilą wniesienia do korporacyi adwokatów stu funtów szterlingów, ma przed sobą otwarte dalekie pole, które przebiedz może i zdobyć najwyższe zaszczyty ziemskie. Lord kanclerz W. Brytanii jest adwokatem, któremu niegdyś świeciła gwiazda powodzenia. A dalej: lord wielki sędzia Anglii, sędziowie apelacyjni, sędziowie wielkiej Izby sprawiedliwości, *attorney* generalny i *solicitor* generalny — wszyscy oni pochodzą z adwokatów. Dodajmy, że stanowiska te przynoszą po sto i sto pięćdziesiąt tysięcy rubli rocznego dochodu. Po za tą atoli, jak widzimy, różnorodną dziedziną jest jeszcze cały bezmierny obszar posterunków administracyjnych, jest parlament! Niema sprawy społecznej, naukowej, politycznej, którąby się obejść mogła bez współudziału adwokata w dobrem i w złem znaczeniu — bezwątpienia. Połowa parlamentu włoskiego, jak obliczał w swoim czasie Sighele, składa się z adwokatów i temu przypisywał wszystkie wrzody, które zebrały się na organizmie parlamentaryzmu włoskiego: crispiadę, panamino itp. Oczywiście odpowiedzialność za tę psychologiczną hypotezę spada na uczonego włoskiego. Dodajmy, że Crispi był i jest adwokatem. We Francyi Jules Grévy, Gambetta byli — zazwyczaj połowa parlamentu składa się z adwokatów. Dzieje rzeczpospolitej francuskiej w bieżącym stuleciu pełne są adwokackiej wymowy. Niedawne wypadki belgijskie, zmiana ustroju parlamentarnego, doniosła nietylko dla Belgii samej, ale pierwszorzędnie ważna w dziejach konstytucyonalizmu wogóle — rzeczników swoich miała przedewszystkiem w szeregach obrońców sądowych. Jest np. w Belgii „adwokat" Emil Picard. Człowiek o tak wielkich i różnostronnych zdolnościach, tak szerokich na świat i ludzi poglądów, człowiek takiej pracowitości, że historya zawodu, którego jest chlubą, nie liczy pewnie drugiej tak cennej jednostki. Pominąmy sprawy rzemiosła, tak obszerne, że rozdać by je można było dziesięciu kolegom, a każdyby stękał jeszcze pod brzemieniem pracy. Picard jest senatorem i powieściopisarzem, politykiem i poetą. Wydał około tuzina „tomów" wszelkiej treści niezależnie od prac z właściwą swą specyalnością związanych. Jest redaktorem i wydawcą dwu czasopism specyalnych (*Journal des Tribunaux* i *Pandectes Belges*, z których pierwsze zajmuje w grupie pokrewnych czasopism europejskich stanowisko wybitne, a drugie jest dziełem uczniów i pomocników Picarda*). Niema jednej wielkiej sprawy społecznej w parlamencie i zarządzie miejskim, w literaturze i w korporacyi adwokatów, w którejby głos Picarda nie odbijał się oryginalnem, indywidualnem echem w chórze zainteresowanych grup społecznych. Tej silnej właśnie osobowości, około której ugrupowało się kilka innych jak minister-adwokat Lejeune, jak Janson, jak Frere Orban, przypisać należy, że już w r. 1886 adwokaci rozrzuceni po całej Belgii i podzieleni, jak to i w innych bywa krajach, na tyle samoistnych ciał, ile jest departamentów sądowych, dokonali zrzeszenia swych potrzeb i interesów pod godłem „federacyi adwokatów belgijskich." Związek ten, odrazu postawiony na pewnych materyalnych i ideowych fundamentach, założył sobie daleko sięgające cele w granicach zawodu, prawa i sprawiedliwości. Trzeba przyznać, że dziesięcioletnie jego istnienie ma do zaznaczenia ważne ślady działalności nietylko frazeologicznej. Związek wywołał dyskusyę, zapoczątkował i dokonał po części reformy procedury w sądach handlowych, w sprawach etyki adwokackiej, utworzenia komitetu, mającego na celu opiekę nad dziećmi oddanymi pod sąd, reorganizacyi nauczania na wydziałach prawnych uniwersytetów belgijskich itd. Jednocześnie pracowano usilnie nad literaturą: katalogi wydawnictw belgijskich mogą się pochlubić poważną ilością tytułów prawnych i autorów prawników.

Należało też spodziewać się, że z łona tak znakomicie zorganizowanej korporacyi belgijskiej wyjdzie hasło do zrzeszenia się na szerokich podstawach międzynarodowej wymiany potrzeb i pożądań zawodowych. Podłoże materyalne było już dane oddawna. Świat stosunków wymiennych, ekonomicznych, handlowych stał się nie od dzisiejszej albo wczorajszej chwili — wszechświatem. Granice topograficzne, oddzielające kopcami „krajowego" przemysłu, „narodowego" handlu człony pojedyncze narodów ucywilizowanych, rozpłynęły się w oceanie giełdy i „wszędzie kurs mającego" pieniądza, przysłonięte zostały siecią pajęczą towarzystw akcyjnych „bezimiennych" itd. Adwokatura, odpowiadająca tym potrzebom rynku ekonomicznego, stała się również w znaczeniu międzynarodowem wymienną. Instytucya bankowa potrzebuje dziś przedstawiciela w Kopenhadze, jutro w Madrycie, pojutrze w Filadelfii albo w Odesie — wszystko w jednej i tej samej sprawie podstępnego bankructwa, albo wprowadzenia nowej emisyi akcyj na giełdach tych miast. Ci przedstawiciele łączyć się z sobą muszą i istotnie wytwarza się pomiędzy nimi atmosfera początkowo sztuczna wspólnych interesów zawodowych. Dlaczegóżby nie korzystać z tej sposobności i sztuczne pobudki zrzeszenia się przeobrazić w stałe i naturalne? Jeżeli udało się połączyć w jeden związek rozpierzchłe i rozrzucone współistnienia adwokatów belgijskich, to wszak można próbować przynajmniej sił swoich na szerokiem polu. W roku zeszłym tedy przybyło na zjazd „narodowy" palestry niemieckiej dwu przedstawicieli adwokatury belgijskiej z zaproszeniem na zjazd międzynarodowy z powodu wystawy brukselskiej odbyć się mający. Jednocześnie związek adwokatów belgijskich rozesłał do wszystkich korporacyj adwokackich całego świata kwestyonaryusz, obejmujący cały szereg punktów, których całokształt wraz z odpowiedziami miał stanowić szkielet obrad przyszłego kongresu. Wszystkie te punkty sprowadzić się dały do czterech głównych kwestyj: do zbadania w sposób porównawczy zasad ustroju i działalności adwokatury w całym świecie ucywilizowanym, do wytknięcia wad i zalet wszystkich poszczególnych typów jej ustroju, celem ustalenia natomiast wzoru najlepszej organizacyi, do zapoznania się z etycznym, społecznym i majątkowym stanem adwokatury w różnych krajach, do zaznajomienia się z przygotowaniem teoretycznem i praktycznem adwokatury w różnych krajach, a wreszcie do zbadania i ustalenia zasad etyki adwokackiej.

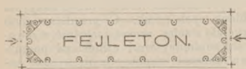
Kongres odbył się w sierpniu r. b. Jako pierwszy zaląźek ciekawej organizacyi czasów przyszłych, obudził silne zajęcie i zgromadził wieloliczny tłum uczestników. Od przedstawicieli 22 państw całego świata, gdzie tylko istnieje adwokatura, otrzymano odpowiedzi na kwestyonaryusz ogólniejszy i wskutek tego tylko niektóremi zająć się tutaj możemy. Adwokaci Niemiec, Austryi, Danii, Węgier, Norwegii i Szwajcaryi posiadają organizacye adwokatury narodowe, które zbierają się w pewnych określonych momentach. Łączą się z niemi różne instytucye o mniej lub więcej ważnem znaczeniu. Prawie wszędzie istnieją kasy pomocy dla rodzin, wdów i sierot po adwokatach. Związek adwokatów niemieckich posiada w Lipsku kasę pomocy, rozporządzającą kapitałem 18 milionów marek. W Belgii, Francyi, Szwajcaryi powołano do życia instytucye patronatu nad wypuszczanymi z zamknięcia więźniami i małoletnimi,

*) Każdy aplikujący u Picarda prawnik obowiązany jest opracować kilka rozdziałów tej epokowej pracy, której wyszło już dotąd około 50, a wyjdzie 72 olbrzymich tomów. Ten drobny na pozór a wielkiego naśladownictwa godny przykład dowodzi, co zdziałać może inicyatywa jednostki, przejętej wiarą w obowiązki swego zawodu, obowiązki nie względem kieszeni własnej, ale nauki i narodu, do którego należy.

którzy znajdowali się pod sądem. Z wyjątkiem Hiszpanii, Japonii i Stanów Zjednoczonych na całym świecie ubogi znajduje pomoc w sądzie bezpłatnie.

Nie chodzi tutaj o wyczerpujące sprawozdanie wszystkich kwestyj i rozpraw, które kongres poruszył i wywołał. Mają one przedewszystkiem specyalny, zawodowy, prawny i prawniczy interes. W danej chwili obchodzi nas tylko jego społeczny, organizacyjny i socyologiczny charakter. Bez względu na rezultaty bowiem, jakie dał albo da w przyszłości, bez względu na to, czy uczyni zadosyć życzeniom inicyatorów, albo je zawiedzie, czy skrystalizuje wspólne dążenia i potrzeby w jakiś żywe ciała działalności owocnej, albo strzaska nad nimi kopie potępienia, jako nad przedwczesnymi i niepotrzebnymi wysiłkami — bez względu na to wszystko kongres jako coś istotnie nowego, oryginalnego i indywidualnego, jako próba wzlotów Ikarowych ku słońcom uspołecznienia i zrzeszonych zabiegów ludzkich będzie miał ważne, a w dziedzinie stosunków, które ogarnął, przełomowe znaczenie.

*S. Posner.*



# LIBERUM VETO.

Opadające liście.

Przerywając swoją kronikę na początku lata, miałem szczery i mocny zamiar przez kilka miesięcy nietylko o niczem nie pisać, ale także o niczem nie myśleć. O niczem? Bezwzględnie — jest to niepodobieństwem, ale przynajmniej można nie myśleć o zagadnieniach życia, o tych pijawkach, które nam najwięcej wysysają krwi z serca i mózgu. Niech one sobie odpoczną — i ja odpocznę. Ani ich rozwiązanie przez to się nie opóźni, ani moja wiedza nie zubożeje. A oddalić się na jakiś czas od tych nieodpornie natrętnych i nielitościwie dokuczliwych myśli trzeba. Bo one zwykle nie są spokojnem snuciem wzorzystych tkanek na krosnach, ale cierpieniem na torturach.

Los pomógł mi w tem przedsięwzięciu znakomicie — zesłał chorobę, w której lekarze nakazali mi przedewszystkiem o niczem nie myśleć. Jak to się pięknie złożyło! Czego chcę, to muszę. Rzadko w życiu zdarza się taka śliczna zgoda konieczności z pragnieniem. Jednakże — tak dumałem sobie — czemu pewni ludzie, których ani natura, ani ich własna wina nie uczyniła kalekami, skazani są na chorobę? Śmieszne pytanie! A czemu pewni ludzie, których ani natura nie wydziedziczyła ze swych dóbr, ani przez własną winę tych dóbr nie stracili, skazani są na nędzę? Śród niepogrzebanych przesądów utrzymuje się jeszcze i ten, że zdrowie nie jest przywilejem wybranych, ale prawem wszystkich, że ono należy się każdemu człowiekowi, jak powietrze i światło, a co najmniej stanowi tak powszedni dar życia, jak chleb i woda. Wielkie złudzenie! Zdrowie nie jest powietrzem i światłem, nie jest chlebem i wodą, ono jest zbytkiem, na który pozwolić sobie mogą tylko wybrańcy losu.

Co to? Ja znowu myślę, pomimo że sam nie chcę i lekarze zabronili? Jeśli się nie wyłamię z tego okropnego nałogu, przepadnie odpoczynek i kuracya. Trzeba się poprawić.

Zacząłem tedy nie myśleć.

Rozkoszny to stan! Przechadzasz się na wsi, zdala od gwaru i rzężenia gardeł duszonych w walce o byt, śród najcnotliwszych i najlepszych na świecie istot, jakiemi są rośliny, poddajesz się odurzającym pieszczotom słońca i powietrza, uśmiechasz się do kwiatów, które ciągle zaczepiają cię po drodze zalotnemi główkami, śród ciszy i woni słuchasz szeptów serca, opowiadającego ci miłe wspomnienia i promienne nadzieje, obliczając, jaki ogrom szczęścia mógłby się zmieścić w tym ograniczonym świecie i tem ograniczonem życiu. A jakaż mała odrobina owego szczęścia pływa po bezmiernym oceanie niedoli! Niewątpliwie i w tym względzie kolej ludzkości jest podobną do kolei człowieka — to znaczy — bywa jasną i ciemną, ożywioną i martwą. Jakąż jest obecnie? Kiedy patrzę na drzewa i krzewy, tryskające zdrowiem z każdego liścia i każdej gałązki, nie przypominają mi one ludzi. Tu ciągle odradzająca się wiosna i lato, tam jesień i zima. Życie rodu człowieczego — to olbrzymi las, w którym zwiędłe liście opadają ustawicznie z cichym i smutnym szelestem. Jedne gniją na ziemi w grubych warstwach, inne wiatr roznosi po polach. Gdzieniegdzie zielenią się jeszcze młodsze pędy, ale i one zwiędłą korą i pożółkłymi brzegami liści zapowiadają, że wkrótce się obnażą. Niech mi kto wskaże jakiś czerstwy, pełen soków, ciągle młody gaj, pokryty kwieciem i owocami! Nie ma. Stoją tylko wielkie bory i małe kępy suchych starodrzewów i mizernego chrustu. Wszystko wątłe i krótkotrwałe. Myśli i uczucia dziś się wysuwają z pąków świeże, jutro marszczą się, pojutrze opadają. Ludzie depcą po tych liściach bez miłosierdzia dla nich, ale też bez zadowolenia dla siebie. Czy korzenie życia nadgniły, czy zimno niszczy tkanki, czy brak światła przecina rozwój? Trudno ciągle dobadywać się przyczyn. Ot poprostu nastała długa, dżdżysta i chłodna jesień. Tak sobie tłomaczy ludzkość obecną porę swego życia.

Rozpoznajecie te pożółkłe lub zczerniałe, leżące na drodze liście? Są to zasady, reguły, pewniki, przeróżne uczucia, które, zdaje się, gwoździami przybite do gałęzi drzewa ludzkiego, a które lada powiew strąca. Między nimi walają się t. zw. patryotyczne. Cóż one tu robią? Jesteście zdziwieni? Wszakże w lesie człowieczym należą one podobno do tych, które jak igły sosnowe, nigdy nie opadają i zawsze wiszą zielone. Czy tak istotnie?

Jednym z najważniejszych skutków postępu kultury jest różniczkowanie się żywiołów społecznych. Horda pierwotna składa się z jednego gatunku ludzi, społeczeństwo starożytne ma ich kilka, nowoczesne — mnóstwo. Przy tem rozłamywaniu się gromad na odrębne, zwykle nieprzyjazne sobie stany rozdzierają się zawsze i wspólne im dawniej uczucia i pojęcia. Znakomity dramatopisarz niemiecki okazał w żywym obrazie, jak odmiennie rozmaite warstwy społeczne pojmują dziś *honor*: co dla jednej jest hańbą, dla drugiej — zaszczytem. Podobne różnice zachodzą we wszystkich punktach życia umysłowego i moralnego. Zależnie od ośrodka toż samo nazywa się rozumem i głupotą, występkiem i zasługą, zacnością i wszeteczeństwem. Wyjdź za górę lub rzekę — woła Pascal — a zobaczysz, że to, co z tej strony jest cnotą, z tamtej zbrodnią. Dziś nie trzeba wychodzić za górę lub rzekę, dość przejść z jednej klasy społecznej do drugiej, ażeby dostrzedz taką różnicę. W obrębie najjednolitszego narodu istnieją obok siebie całe odmienne światy, przedzielone głębszymi rowami i zamknięte wyższymi okopami, niż dawniej twierdze i obozy. Światy te zachowały z dawnych epok wspólne nazwy i słowa, wspólne łupiny życia, ale wypełniły je różnemi ziarnami. Losowi temu uległ również patryotyzm. Wyraz ten najczęściej wyciera usta obywateli Europy. Stanowi on dla nich rodzaj wonnej i barwnej pomadki. Bo nie być patryotą, to znaczy być wściekłym lub parszywym psem, którego każdemu zabić wolno. Więc wszyscy zapewniają sobie ten tytuł. Żaden ukształcony i świadom swych praw obywatel obejść się bez niego nie może, jeśli nie chce wywołać przeciw sobie wzgardy i używać powszechnego szacunku. Ale co było począć, kiedy wyraźnie okazało się, że wóz ze skarbcem dobra społecznego każdy w swoją stronę ciągnie? Trzeba było zrobić co najmniej tyle wozów i tyle skarbców, ile jest grup, pragnących go ciągnąć w jedną stronę. I oto dzięki tej konieczności, z dawnego patryotyzmu narodowego, ogarniającego całość lub większość społeczeństwa, powstały patryotyzmy klasowe, odpowiadające interesom pewnych żywiołów. Przed kilku laty zdradzono w prasie tajemnicę fabrykantów francuskich w Alzacyi niemieckiej, którzy nie protestując głośno przeciwko odwetowym zamiarom swych rodaków, nie życzą sobie w duszy powrotu na łono poprzedniej ojczyzny, gdyż w obecnej, skutkiem słabszego współzawodnictwa, robią korzystniejsze operacye handlowe. Spytajcie takiego patryotę — ale nie publicznie, tylko na cichej i szczerej spowiedzi — czy on pragnąłby, ażeby Francya wypowiedziała wojnę Niemcom, rozgromiła je i odzyskała stracone prowincye? Odpowie wam: „Byłby to bardzo ładny wypadek dla naszej historyi, ale bardzo szkodliwy dla moich interesów. Skoro Bóg oddał nas w niewolę niemiecką, pozostańmy w niej, dopóki nas nie wyswobodzi.“ Zagadnijcie właściciela plantacyj śliwkowych w Bośnii, czy on woli pozostać w dotychczasowem położeniu, które dla jego towaru otwiera cały obszar państwa austryackiego, czy też żyć w niepodległym kraiku i przeprowadzać swój produkt przez wysoki mur celny w świat dalszy? Odrzecze niewątpliwie, że on bardzo by kochał niezależną Bośnię, ale gdyby nawet mógł, nie wyjarzmiłby jej z powodu... śliwek. A czy niedawno nie czytaliśmy, że panowie galicyjscy bardzo niechętnem uchem słuchają propozycyi wyodrębnienia Galicyi z monarchii austryackiej na modłę Węgier, gdyż ta niezależność kraju pozbawiłaby ich blasku, jaki na nich spada z Wiednia, a jakiego nie dałby im ani Lwów, ani Kraków? Podobne objawy powtarzają się wszędzie. Ten patryotyzm ogólny, o którym mówiono i który wyznawano jeszcze przed laty rozszczepił się dziś na patryotyzmy klasowe — na patryotyzmy chłopów, mieszczan, szlachty, wielkich przemysłowców, kupców, arystokratów itd., a rozszczepił się według promieni interesów w swym kierunku bardzo rozbieżnych. Co dla jednych jest najwyższem szczęściem, to dla drugich klęską. Wszyscy wymawiają ten sam wyraz i pozornie zamykają w nim to samo uczucie, ale skoro tylko zdarzy się jakiś wypadek, potrącający o interesy, natychmiast występuje różnica dążeń.

Pośród wszakże niezliczonej masy wiodących walkę o byt i pamiętających w niej wyłącznie lub przeważnie o zadowoleniach swego osobistego i stanowego egoizmu, są dusze niesamolubne, marzycielskie, obejmujące swą miłością całość gromady rodzinnej. Te dusze czują i mają patryotyzm ogólny, jak mają przywiązanie do całego kraju, a nie do jednej jego gminy lub gubernii...

Co ja robię! Miałem nie myśleć! Daremne postanowienia — zwłaszcza gdy się widzi opadające liście. Więc wracam do mojego warsztatu.

*Poseł Prawdy.*

## LITERATURA I SZTUKA.

### DWIE NIEDOKOŃCZONE POWIEŚCI *).

Śmierć porwała w jednym roku dwie siły pierwszorzędne z literatury angielskiej, Patera i Stevensona, w chwili gdy talent ich znajdował się w pełni rozwoju, jak o tem świadczą niedokończone ich powieści, które krytyka angielska uważa za najlepsze ich twory, prawie za arcydzieła.

Byli to dwaj ludzie usposobienia wprost odwrotnego: Stevenson żywy, towarzyski, popularny, Pater melancholijny marzyciel, odludek, nieznany przez ogół. Zamknięty w swej pracowni, uciekał od ludzi nie z niechęci, lecz z obojętności. Na pewnym stopniu rozwoju umysłowego jest się tak przez nich znudzonym, iż rozmowa lub obcowanie towarzyskie stają się wprost niemożliwe. Słuchając ich, uważa się już nie na słowa i myśli, które w danej sytuacyi naprzód przewidzieć można, ale raczej na formę czaszki, na kąty twarzy, na jej grymasy i ruchy, w nadziei ciekawych spostrzeżeń. Żądać od tych ludzi, aby wmieszali się w tłum i podzielali jego smutki i radości, jest tak logicznem, jak żądać od człowieka, aby ze stadem baranów brykał na łące. Pater był więc skazany na wieczne analizowanie siebie samego. Czynił to i w ostatniej swej powieści, *Gaston de Latour*. Jest to jego własna historya. Lubił oprowadzać swoje zwątpienie we wszystkich epokach i otoczeniach, a głównie w tych, które najbardziej przypadały do jego smaku i charakteru, jak Rzym za czasów Marka Aureliusza, lub Francya za czasów Renaissance'u. Tam miał sposobność zobrazowania głównych prądów filozofii greckiej z owej chwili, sceptycyzmu i stoicyzmu, tu filozofię Odrodzenia w jej przedstawicielach: Ronsardzie, Montaigne'u, Giordano Brunonie. Wędrówki te w obu wypadkach dochodzić miały do jednakowego rezultatu: do chrześcianstwa, zresztą nader niezdecydowanego.

Historya duchowa Gastona de Latour jest zupełnie podobna do Maryusza Epikurejczyka **). Dzieciństwo spędził w gorącym entuzyazmie religijnym. Gdy miał lat szesnaście, wstąpił na służbę dworską do biskupa z Chartres. Zachwycał się pięknem cudnej katedry tego miasta, w niej znalazł ucieczkę od pospolitości swych towarzyszów. Jako natura nader wydelikacona i inteligentna, nie mógł w żaden sposób dostroić się do ich wrzaskliwego dyapazonu. Czuł się oddzielony od ludzi murem nieprzekraczalnym, gdyż ich istota występowała przed nim w całem swem obnażeniu. Gaston znajdował śród nich rysy papugi, zająca, barana i małpy. Oni natomiast odczuwali pewien przestrach wobec potęgi umysłowej delikatnego młodzieńca. Trzymali się na ostrożności. A jednak wpływ nowego otoczenia oddziałał uśmierzająco na jego zapał religijny. Otoczenie to nie tchnęło wprawdzie pogardą dla wiary, ale zupełną obojętnością, której przykład dawał sam biskup, Mgr. Guillard. Czytanie autorów klasycznych ostatecznie zmieniło kierunek myśli Gastona. Z pośród autorów współczesnych głównie zachwycał się Ronsardem i jego „Odami." Poznał z nich piękno świata istniejącego, który się stawał pod czarem lekkich rytmów poety bardziej zmysłowym i zarazem bardziej idealnym. Nawet katedra zaczęła przemawiać więcej do zmysłu artystycznego, niż do wiary Gastona.

Marzeniem jego przez długi czas było zobaczyć Ronsarda. Gdy je spełnił, jakież rozczarowanie go spotkało! Wyobrażał sobie osobę silną i wdzięczną, darzoną wieczną młodością. Znalazł starca otyłego, próżnego, zdziecinniałego. Oddany był całkiem ogrodnictwu, ale nie uprawie kwiatów, jakby Gaston chętnie sobie wyobrażał, lecz zwykłych jarzyn. Poeta poświęcał się namiętnie temu zajęciu, aby walczyć z początkami podagry. Przed gościem, który przybył pełen nabożnego uwielbienia, roztoczył wszystkie świadectwa swej sławy literackiej, swe portrety i popiersia, przedstawiające go z wawrzynem laurowym na czole, oraz portrety swych kochanek. Gaston coraz bardziej podziwiał oschłość i starość ukochanego poety, a gdy opuszczał jego dom, pozostawił za sobą część swoich złudzeń młodzieńczych.

Na pożegnanie Ronsard dał Gastonowi list rekomendacyjny do Montaigne'a, jako znawcy pierwszorzędnego autorów klasycznych i filozofa, który miał rozjaśnić młodemu poecie wszystkie jego zwątpienia. Istotnie Gaston znajdował się na rozdrożu pomiędzy starą wiarą, która mocno w nim się wahała i kultem piękna, który go podbił, ale raził wiele jego moralnych nawyknień. Piękno fizyczne nie zawsze bywa w zgodzie z pięknem moralnem: przy wyborze czem się kierować? Różnica pomiędzy dobrem a złem z punktu widzenia estetyki znacznie się zaciera. To wątpienia trapiły młodą duszę, to też z zapałem udawał się do mistrza, który miał mu je rozstrzygnąć.

Niestety autor „Essais'ów," sam pogrążony w sceptycyzmie bezgranicznym, jak najmniej odpowiadał tej misyi nadania określonego kierunku duchowi wyrzuconemu z kolei i zbitemu z tropu. A jednak Montaigne przyjmował wszystkich z tak serdeczną gościnnością — dom jego był wciąż otwarty dla słońca i dla ludzi — iż Gaston spędził w jego towarzystwie i młodej jego żony rok cały. Montaigne nadzwyczaj lubił młodzież, rad był chłopakowi, który umiał stawiać pytania i słuchać, wyłożył mu cały system swych poglądów, ale na tem koniec. Wobec niesłychanej tajemnicy, którą każdy z nas nosi w sobie, trzeba być szalonym lub ślepym, żeby chcieć nadawać komuś kierunek: niechaj każdy podąża drogą własnego swego losu.

Następnie Gaston udaje się do Paryża, aby w Sorbonie słuchać lekcyj Giordana Bruno. Panteizm mnicha włoskiego pozostawił na nim swój ślad, ale bynajmniej mu jego zwątpień nie rozjaśnił. Na tem powieść się urywa: nie wiadomo, jakiemi drogami autor miał zamiar oprowadzać jeszcze swego bohatera, żeby go przywieść do portu chrześciańskiego. Ale i ten chrystyanizm byłby także pewno czysto Renanowski, taki, co to przyznając społeczeństwu prawo wymagania od nas cnoty, zastrzega sobie jednak w odwecie prawo ironii. Zresztą nic o tem nie wiemy i kwestyi tej nie wyjaśnił — niestety — wydawca powieści, prof. Karol Shadwoll, przyjaciel najbliższy zmarłego autora. Pater roztoczył tu wszystkie zalety swej potężnej myśli i swego niezrównanego talentu pisarskiego. Stevenson nie był ani myślicielem tak głębokim, ani artystą tak subtelnym. Za to zdolności twórcze biły w nim zdrojem daleko żywszym. Przedstawia zwykłą, średnią ludzkość, podziela wszystkie jej radości, smutki i przesądy. Cechy te znajdujemy we wszystkich jego powieściach, od pierwszej do ostatniej.

*Weir of Herminston* jest utworem niedokończonym — ostatnie stronice autor dyktował w dniu śmierci. Ten ułamek ma jednak dla charakterystyki literackiej autora olbrzymie znaczenie, albowiem Stevenson tu dopiero chciał dać istotną swą miarę. W innych powieściach — gdzie talent poety i psychologa zawsze jest oczywisty — przybierał mimowolnie ton bawiciela publicznego; w tym jego humorze było dużo klownizmu, zastosowanego do smaku publiczności. Tu dopiero chciał się wyzbyć wszelkich względów pobocznych i hołdować tylko wymaganiom sztuki. Chciał, żeby ta powieść była jego arcydziełem, w ciągu ostatnich pięciu lat swego życia nią głównie się zajmował, tworząc jednocześnie opisy przygód awanturniczych.

Przedewszystkiem chciał w niej przedstawić Szkocyę, swą ojczyznę. Przebywał na malowniczych wyspach oceanu Wschodniego, ale wyobraźnia jego wciąż się unosiła nad pochmurnemi i staremi wzgórzami kraju ojczystego. Kilka ostatnich opowieści tam właśnie umieścił. W *Weirze* wspomnienia dzieciństwa opanowały go z siłą niesłychaną, bardziej niż gdziekolwiek. Powieść ta przepełniona jest opisami obyczajów, legend, tradycyi, krajobrazów szkockich, głównie jednak wyrażeniami i zwrotami zupełnie miejscowymi. Ten wzgląd ostatni zmusił nawet wydawcę, Sielnego Colwina, który był najbliższym przyjacielem autora, do zaopatrzenia książki odpowiednim słowniczkiem tłomaczeń.

Bohaterem jest sędzia szkocki z przeszłego stulecia, Braxfield, którego pamięć otoczona jest legendami okrucieństwa. Największą jego rozkoszą było skazywać winnych na powieszenie. Stevenson nazywa go Adam Weir, daje mu powierzchowność brutalnego chłopa, bez wykształcenia, ale z niewątpliwą siłą myśli. Pełen pogardy dla wszystkiego, co czułe lub delikatne, suchy i szyderczy; okrucieństwu towarzyszy jowialność. Ten tyran ma żonę i syna, dwie istoty właśnie czułe i delikatne. Żona była w młodości piękna, żywa; sąsiedzi przypominali sobie jej wdzięczne kaprysy, smutki, radości i porywy. Ale pod wpływem męża szybko uwiędła; dojrzałości dobiegła całkiem przybita. Nie było w niej już ani kropli życia, wesela; wszystkie rysy osobiste zostały zmazane. Była nabożna, bojaźliwa, czuła i zapłakana.

Pogrążona wciąż w ewangeli, karmiła nią i syna. Jej nabożność całkowicie przechodziła w tę młodą duszę. Gdy jednak w niej pokora stała się już prawie uczuciem przyrodzonem, w nim była tylko przyczepionym dogmatem. To też natura męzka chłopca chwilami się buntowała. W siódmym roku życia ciekawość jego i inteligencya były już silnie obudzone. Już wówczas charakter ojca go raził. Jeżeli jest grzechem sądzić, w jakiż sposób się dzieje, iż ojciec jest sędzią — zapytywał mały Archie matki. Pani Weir odpowiadała ogólnikami. Nie, nie — mówił chłopiec — ja tego zrozumieć nie umiem i powiem ci otwarcie, mamo: nie uważam za stosowne, żebyśmy zostawali przy nim. Matka umarła, gdy miał lat dwanaście. Pozostał sam, bardziej jeszcze oddalony od ojca strachem i wstrętem. Uczucia te wzrastały z biegiem lat.

Pewnego dnia, gdy był w sądzie i naocznie poznał okrutną rolę swego ojca, nie mógł się dłużej powstrzymać i otwarcie wypowiedział swój wstręt do kary śmierci i dla tych, co ją stosują.

Ojciec, dowiedziawszy się o tem, wybucha gwałtownym gniewem: ma on za sobą świadomość sumiennie wypełnianego obowiązku, co zresztą i syn w głębi duszy przyznać musi.

Stary sędzia wysłał chłopca do swej ziemi Herminston i tem ściągnął nań cały szereg nieszczęść. Archie zakochał się w Krystynie, siostrzenicy swej starej guwernantki. Ta ostatnia, wiedząc, iż ojciec

*) Walter Pater: *Gaston de Latour, an unfinished romance*, 1 vol. Londyn, 1896. R. L. Stevenson: *Weir of Herminston, an unfinished romance*. Londyn, 1896.

**) Porown. *Prawda* nr. 1 i 2 z r. b.

nigdy na to małżeństwo nie zezwoli, błagała Archia, żeby ukrył swą miłość i otrzymuje odeń przyrzeczenie. Na tem fragment się urywa. Sidney Colwin powiada nam jednak, według zeznań autora, jakiem miało być zakończenie powieści. Archie wierzy swemu słowu, pozostaje w oddaleniu od Krystyny, tymczasem przyjaciel jego, Franck Innes, ją uwodzi. Archie, który w gruncie rzeczy posiada naturę i gwałtowne instynkty swego ojca, wpada w wściekłość i zabija Innesa. Stąd proces i stary Weir, wierny swemu charakterowi i idąc za głosem sumienia, skazuje na śmierć syna, którego w głębi serca namiętnie kocha

Takie byłoby naturalne zakończenie tej tragedyi. Jeżeli jednak mamy wierzyć Colwinowi, Stevenson popsułby ją innym finałem. Czterej wujowie Krystyny mieli napaść na więzienie, uwolnić Archie i ułatwić mu ucieczkę do Ameryki wraz z kochaną. Oto jak Stevenson sam objaśniał jednemu z przyjaciół to zakończenie: „Hermiston ma syna skazanego na śmierć, pierwszą mą intencyą było kazać go powiesić. Ale, rozpatrując moje charaktery drugorzędne, widziałem, iż są tam cztery osoby, które mogły, a w pewnym względzie nawet powinny były rozbić bramę więzienia i uwolnić go. Są to śmiali i silni chłopi, którzy znakomicie mogą urządzić mu ucieczkę. Czemuż więc nie uczyniliby tego? Czemuż młody człowiek nie miałby uciec, emigrować do innego kraju i żyć tam szczęśliwie ze swą kochaną?“

To zakończenie byłoby popsuło całą powieść, ale objaśnia się ono dobrem sercem dorosłego dziecka, jakiem przez całe życie był Stevenson. Bądź co bądź, fragment istniejący daje istotną miarę tego niezwykłego talentu, który tu dopiero dopiął zupełnej swej dojrzałości. Jest to zresztą tylko szkic pierwotny, nieopracowany, bez planu i konstrukcyi, pełen niepotrzebnych epizodów, ale główne charaktery narysowane są z takiem mistrzowstwem, iż nietylko imię Dickensa, ale nawet Balzaca wypowiedziane zostało przez krytyków kompetentnych przy tej okoliczności. Tylko charaktery kobiece są tu, jak zwykle zresztą u Stevensona, słabe.

Pater i Stevenson różnili się między sobą wszystkiem: usposobieniem, myślami, talentem. Gdy Pater był wciąż zamknięty śród swych książek, Stevenson tak namiętnie lubił gwar życia, iż nawet na wyspie Samoa przyjmował udział czynny w sprawach publicznych. Jeden bujał wciąż śród najwyższych zagadnień myśli ludzkiej, drugi zajmował się tylko zjawiskami konkretnemi życia społecznego. Talent Patera był czysto muzykalny, wyrażający się w pięknym układzie dźwięcznych słów, talent Stevensona — malowniczy: wszystko przybierało w jego imaginacyi formę obrazów.

*Dr. L. W.*

### NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

POWIEŚĆ. W. G. Bęczkowska: *Kędy droga?* (448 str.). Dubowski i Gajewski.

PODRĘCZNIKI NAUKOWE. W. Przyborowski: *Dzieje Polski*, opracowane dla młodzieży (242 str.). Dubowski i Gajewski.

SOCYOLOGIA. A. Dygasiński: *Nędzarze życia*, rozprawa o altruizmie względem zwierząt (107 str.). Dubowski i Gajewski.

— K. Laskowski: *Chłopska dola*, z notatek brzczkosieja (66 str.).

HUMORYSTYKA. „Facet,“ znany i wesoły kalendarzyk, który posiada dwie zalety: jest dowcipny i nie jest nadziany ogłoszeniami.

PAMIĘTNIKI. „Lutnia warszawska“ od r. 1887 do 1897.

WYDAWNICTWA ZESZYTOWE. „Dziejów powszechnych ilustrowanych zeszyty 170—178.

— „Encyklopedyi rolniczej“ wydano z. 70 (Nawozy).

### POEZYE

### TAK MARZYM.

Płyną nam słowa, jak lawy potoki,
Lecz w sercu na dnie drzemie nurt głęboki,
Mierzymy w słońce skrzydłami szumnemi,
Lecz dusza nizko pełza w kurzu ziemi,
Ilekroć prawdy pragnie dotknąć ramię,
Kłamiemy życiu i życie nam kłamie!

Płyniem przez ludzkość, żagiel nasz wydęty.
Lecz wkoło cisza, śpią świata odmęty,
Ilekroć burza zamąci je nagle,
Wtedy wydęte opadają żagle
I gorzko echo naszym czynom wtórzy:
Burzliwi w ciszy, zasypiamy w burzy!

Śni tylko dusza niekiedy sen złoty,
Że się zbudziła ze swojej martwoty,
Jak lunatyczka nocną porą wstaje,
Obchodzi w mroku pogrążone kraje,
Aż ją zgiełk świata nad runem powstrzyma
Idącą przez sen z błędnemi oczyma..

*Andrzej Niemojewski.*

### SPRAWY EKONOMICZNE

### WARSTWY ŚREDNIE INDUSTRYALIZMU NOWOCZESNEGO.

Upadek lub rozwój dobrobytu warstw średnich, przedstawiających ogniwo pośrednie pomiędzy nieliczną grupą wielkich kapitalistów a tłumami, które żyją jedynie z wynajmu rąk własnych, zależy od tylu okoliczności i jest wogóle sprawą tak zawikłaną, że wyrobienie sobie jasnego i należytego pojęcia o położeniu nie jest łatwe. Trzeba byłoby wziąć pod uwagę każdą oddzielną prowincyę międzynarodowego obszaru wymiennego, nadto wyodrębnić pojedyncze grupy warstwy średniej, ażeby szczegółowo rozważyć tę kwestyę. Wnioski, wysnute na podstawie faktów tylko z pewnego kraju, mogą być zgoła odmienne, aniżeli otrzymane z innego. Nawet w tym samym kraju spostrzegamy prądy sprzeczne: w jednej dzielnicy pewna grupa z pośród warstw średnich może upadać, tymczasem w innej, sąsiedniej, dzieje się inaczej. Wreszcie dana warstwa może liczebnie wzrastać nawet, faktycznie jednak upadać, jak to zdarza się w stosunku do włościan, którzy rozmnażając się, dzielą osady i zamieniają się na małorolnych proletaryuszów. To też nie łatwiejszego, niż fałszować rzeczywistość, opierając się tylko na pewnych faktach lub poprzestając na pewnych okolicach i stamtąd wyciągając wnioski. Rzecz zaś ulega tembardziej wypaczeniu, że względy partyjne odgrywają w wywodach co do przyszłości stanu trzeciego rolę bardzo znaczną. Rodbertus-Jagetzow przedstawił społeczeństwo obecne, pod względem ekonomicznym, jako głowę, która wązziuchną szyją łączy się z bardzo potężnym tułowiem. Owa szeroka podstawa to warstwy nieposiadające, głowa — plutokracya dzisiejsza, mniejsza czy finansowa, przemysłowa lub ziemska, wreszcie szyją są grupy średnie. Według tego ekonomisty, rozwój polega na tem, że szyja staje się coraz cieńszą w miarę postępu nowoczesnych sił wytwórczych i odpowiednich zmian, zachodzących w podziale dochodu narodowego. Przedstawiciele kierunków zachowawczych (i niektóre demokratyzmy znajdują się w ich liczbie) usiłowali podważyć to twierdzenie, mianowicie dowieść zdania przeciwnego, że warstwy średnie posiadają jeszcze przyszłość przed sobą. Twierdzenie to, bardzo ryzykowne co do rzemiosła, ma jeszcze jakie takie oparcie w stosunku do włościaństwa. Trudno wdawać się w szczegóły, zaznaczamy tylko, że zjawienie się zboża amerykańskiego na rynku europejskim powstrzymało zanikanie drobnej własności ziemskiej, choć w niczem nie zmniejszyło wzrostu nędzy na wsi.

Prof. G. Schmoller miał świeżo w tej kwestyi odczyt na zjeździe polityków społeczno-ewangelickich*) w Lipsku. Kiedyś bronił on zgoła odmiennych poglądów — w okresie wrzenia umysłowego pomiędzy ekonomistami niemieckimi przed laty 25. Uważał on zanik warstw średnich za nieodzowny. Nie będziemy badali, pod wpływem jakich pobudek zmienił on swoje przekonania. Może powodu trzeba byłoby szukać w pewnej reakcyi czysto duchowej. Są tacy, którzy mniemają, że zmiany ekonomiczne powinny uwydatnić wpływ swój w bardzo krótkim odstępie czasu; jeżeli zaś rzeczywistość nie stąpa takimi olbrzymimi krokami, pierwsi są gotowi wpaść w drugą ostateczność i potępić własne poglądy, ongi wyznawane — tylko dlatego, że oczekiwali zbyt pospiesznych rezultatów. Schmoller stara się wytłomaczyć taką zmianę frontu i nawet obawia się, iż mogą znaleźć się podejrzywający jego dobrą wiarę. „Poglądy moje — pisze on — różnią się od tych, jakie wyznawałem w osmym dziesiątku lat i publicznie głosiłem, choć nie w tem, ażebym wtedy patrzył na stan rzeczy czarno, obecnie zaś tylko różowo. Przed laty 25, stosownie do istniejącego podówczas materyału statystycznego i skutkiem warunków politycznych i społecznych, przedewszystkiem zaś pod wpływem niewystarczających studyów własnych, widziałem tylko jeden ruch: wzrastające zróżniczkowanie społeczeństwa i zachwianie się silne stanu trzeciego. Natomiast dzisiaj spostrzegam dwa prądy bardzo zawikłane: obok wzrastającego zróżniczkowania odbywa się ruch wstępujący wszelkich zdrowych i dzielnych pierwiastków z pośród grup średnich i niższych. W tem twierdzeniu tkwi właśnie jądro moich wywodów.“

W gruncie rzeczy prof. Schmoller postawił kwestyę w sposób zgoła odrębny, rozchodzący się faktycznie z utartym poglądem. Jego zdaniem, warstwy średnie nie są bynajmniej zachwiane dzisiaj w swem istnieniu, będą one w przyszłości spełniały rolę zachowawczą, jaka przypadła im w przeszłości i jaką wyznaczają dla niej teoretycy obozu zachowawczego. W wywodach dotychczasowych, rzemiosło i włościaństwo stanowią właśnie czoło odpowiedniej grupy społecznej. Schmoller zrywa z takiem pojmowaniem rzeczy. Twierdzi on, że położenie rzemiosła i włościaństwa nie jest tak groźne, jak twierdzą przedstawiciele pewnych kierunków skrajnych. Ale jednocześnie zaznacza, że bankructwo obu powyżej wymienionych grup nie pozbawi jeszcze kraju warstwy średniej. „Warstwa średnia“ jest dla niego pojęciem, którego zawartość zmienia się wraz z epoką, którą poddajemy rozbiorowi.

Każde społeczeństwo wyższego typu według niego polega na coraz doskonalszem zróżniczkowaniu funkcyj, w parze

*) Wydany oddzielną odbitką: *Was verstehen wir unter dem Mittelstande?* Getynga.

z czem idzie także zróżniczkowanie majątków. Na najwyższym szczeblu hierarchii społecznej istniały zawsze nieliczne koła: arystokracya rodowa, plutokracya, odpowiednio do okresu dziejowego. I zawartość, oraz charakter nizin społecznych przekształcały się także w miarę rozwoju historycznego: zamiast pańszczyźnianych zjawili się dzisiaj najemnicy, żyjący ze sprzedaży własnej pracy. Wreszcie każda epoka dziejowa usiluje wytworzyć, w żywiołowym swoim biegu, grupę, któraby wypełniała przepaść, istniejącą pomiędzy wyżynami a nizinami społecznemi. A ponieważ warunki produkcyi (i wogóle życia społecznego) przekształcają się bez przerwy, przeto i grupa, która zajmuje takie pośrednie miejsce, przedstawia zgoła odmienny charakter. W okresie średniowiecznym kupiectwo, wraz z niem zaś później rzemiosło stanowiło to ogniwo środkowe. W wieku XVIII z pośród kupców i zamożniejszych rzemieślników zaczyna zwolna wytwarzać się plutokracya, która zajmuje miejsce dawnej arystokracyi rodowej, reszta pozostaje na dawnem stanowisku warstwy średniej, wzmocnionej jeszcze przez dopływ nowych soków z pośród grup pańszczyźnianych, oswobodzonych teraz od poddaństwa. Tworzy się nowa warstwa średnia, stanowiąca punkt wyjścia dla dalszego rozwoju, odbywającego się obecnie. W miarę rozwoju wielkiego przemysłu, zwłaszcza zaś wielkiego handlu i wielkiego przewozu, położenie kramikarstwa i rzemiosła staje się bardzo ciężkie, szerokie zaś koła włościańskie zagrożone nędzą. Warstwy, spełniające w organizmie społecznym doniosłe zadanie łagodzenia antagonizmów, znikają, i nie ulega wątpliwości, że dalsza przyszłość jeszcze bardziej narazi się na szwank. Ale dawne urządzenie tylko po to ustępuje, ażeby dać początek nowym, tradycyjne warstwy średnie znikają, bo wielki przemysł stwarza inne, będące w harmonii z ukształtowaniem dzisiejszych stosunków społecznych.

Jak widzimy więc, G. Schmoller bierze termin: „warstwy średnie" w innem znaczeniu. „Wszelka zasadnicza definicya tego, co należy rozumieć pod warstwą średnią — powiada on — byłaby raczej utrudnieniem dla nas, nie zaś ułatwieniem. Winniśmy dla każdego czasu, dla każdego ludu i wreszcie dla wszelkiego ukształtowania stosunków działać na podstawie cyfr namacalnych. Pojęcie stanu średniego ogarnia cały szereg rozmaitych stron i oznak, zawiera w sobie pierwiastki majątku i podziału dochodów, poglądy o honorze, rangę społeczną, wykształcenie techniczne i ogólne, stopę życia, podział zawodowy. Każdy, posługując się tym terminem, używa swego rodzaju pojęcia przeciętnego, złożonego ze wszystkich tych składników, i przeprowadza inną granicę zarówno od dołu, jako też od góry." Słowem, ekonomista niemiecki wyznacza bardzo szerokie granice dla pojęcia „warstwy średnie" i jednocześnie zrywa stanowczo z tradycyą poprzestawania jedynie na rzemiośle i zamożniejszem włościaństwie. Nie dziw więc, że przyznając względną możliwość ich upadku lub zubożenia, twierdzi przecież, iż warstwy średnie nie znikną, bo na miejsce dawnych wejdą do nich nowe pierwiastki.

Nastręcza się pytanie: jakie? Gdybyśmy wykroczyli po za granice Niemiec, na których Schmoller poprzestaje wyłącznie, przedewszystkiem do warstwy średniej musielibyśmy zaliczyć też tak zwaną „arystokracyę pracy," zorganizowaną w Trades-Uniony, przynajmniej te zawody z pośród niej, które pobierają wyższy zarobek. Wyodrębnienie to nie jest tak wyraźne w Niemczech, ale istnieją tam wśród robotników, zawodowo-wykształconych, grupy, które według ekonomisty niemieckiego należałoby zaliczyć do zastępów warstwy średniej. Są to różnego kalibru werkmajstrzy, monterzy, modelarze, których dochody, pewność jutra i zarobki stawiają w położeniu lepszem, niż sytuacya względnie zamożniejszego nawet rzemieślnika. Są to może najenergiczniejsze i najdzielniejsze żywioły tworzącej się a nowej warstwy średniej. Pospołu z wyższymi oficyalistami administracyi przemysłowej i lepiej płatnymi urzędnikami firm handlowych stanowią oni jej jądro zasadnicze, zyskujące tem większe znaczenie, ile że żywioły je składające są bezpośrednim tworem rozwoju dzisiejszego. Liczba ich, z rozszerzaniem się techniki nowoczesnej, z wzrostem olbrzymich procederów przemysłowych i handlowych, z wyodrębnieniem się działalności zarządzającej i kierującej od czysto fizycznej, wzrastać musi. Ich wzorem idą dalsze koła robotnicze w miarę tego, jak oświata demokratyzuje się i bogactwo narodowe pomnaża się: coraz liczniejsi robotnicy posiadają jakiś fundusik zgromadzony w kasie oszczędności lub walor państwowy. Stanowią oni nową warstwę posiadającą średnią, właściwą okresowi rozwiniętego społeczeństwa pieniężnego. Inną bardzo doniosłą częścią składową nowej warstwy średniej są członkowie biurokracyi i przedstawiciele niżsi stanu oficerskiego. Państwo nowoczesne, przedstawiające strukturę bardzo złożoną, powołało do życia olbrzymi organizm urzędniczy, którego znaczenie w życiu społecznem odpowiada najzupełniej zadaniom, stawianym ongi warstwie średniej. Wreszcie trzeba dodać drobnych akcyonaryuszów, mających pewien fundusik, niepozwalający na prowadzenie samodzielnego procederu, wystarczający jednak, ażeby niekiedy dać zupełne utrzymanie rodzinie lub przynajmniej zabezpieczyć ją przeciw niepewności jutra.

Są to wszystko żywioły, które w życiu społecznem pojawiły się świeżo. Wzrost niektórych z pośród nich, np. „arystokracyi pracy" lub grupy drobnych akcyonaryuszów, jest jak najściślej związany z upadkiem rzemiosła — ta sama fabryka, która zniszczyła zamożność rzemiosła i nieznacznym kapitałom uniemożliwiła byt samodzielny, stwarza właśnie werkmajstrów i monterów, buchhalterów i inżenierów, lub zmusza rzemieślników do porzucenia procederu i zamiany niewielkiego majątczku na akcye. Obok nich znajdą utrzymanie niektóre zawody rzemieślnicze, oraz włościanie. Fabryka tylko częściowo niszczy rzemieślniczy tryb produkcyi, bo pewne fachy trwają po dawnemu i prawdopodobnie trwać będą nadal. Cała rzecz, iż zamiast przedstawiać zbiór drobnych przedsiębiorstw, w których pracujący jest zarazem właścicielem, wchodzą one jako część składowa do wielkich firm przemysłowych chwili obecnej. Z drugiej strony znów istnieją zawody, wymagające pewnej indywidualnej subtelności, pewnego artyzmu, co jest możliwe tylko przy rzemieślniczym trybie produkcyi.

Tak przedstawia się główny wątek wywodów profesora berlińskiego. Usiłowaliśmy przedstawić je możliwie przedmiotowo, nie wdając się w krytykę punktów poszczególnych. W doktrynie G. Schmollera my widzimy przedewszystkiem wytknięcie nowego programu działalności zachowawczej i odpowiednio je traktujemy, tj. streszczamy tylko. Czy wolno nam arystokracyę pracy lub biurokracyę zaliczyć do warstwy średniej lub nie, kwestya ta dla nas jest rzeczą względnie obojętną. Natomiast zaliczenie ich przez Schmollera do tej grupy jest niczem innem, jeno wykazaniem, że odłamy te narodu z natury swego położenia odznaczają się pewną zachowawczością i że trzeba na nie działać w duchu odpowiednim. Może najcharakterystyczniejszym punktem w tem całem rozumowaniu jest zaprzeczenie pierwszorzędnego stanowiska dawnym przodownikom warstwy średniej i przeniesienie punktu ciężkości do grup, będących nawskroś wytworem industryalizmu wielkoprzemysłowego.

*J. W.*

---

## O PRAWDĘ.

Właściwie tylko o źdźbło prawdy, o drobiazg, prawie o nic... Idzie mi bowiem o wskazanie maleńkiej niesprawiedliwości, jakiej mimowoli dopuścił się w swojej pięknej ocenie działalności poetyckiej Asnyka w nr. 35 *Prawdy* A. G. Bem, twierdząc, że zmarły poeta pod względem rytmiki wiersza „nie dorównywa pewnym wzorom" w naszej poezyi, popełniając niekiedy „usterki, jakich nie popełniłby np. Kornel Ujejski." Chodzi mi więc o kwestyę nadną i o niesłuszność drobną. A przecież mam nadzieję, że *Prawda* nie odmówi gościnności kilku poniższym uwagom, a to z wielu względów. Poszanowanie prawdy musi się rozciągać do najdrobniejszych jej atomów. Niesprawiedliwość nawet najlżejsza winna być sprostowaną. A przytem od czasu do czasu warto szerzej się zastanowić nawet nad nudnemi kwestyami metryki. Bodaj bowiem, czy nie nader słabe oświetlenie tej dziedziny w naszej literaturze krytycznej sprawia, iż łany naszej poezyi tratowane bywają częstokroć przez całe stada Pegazów, nieznających żadnych wędzideł w rodzaju praw rytmu i harmonii.

Szanowny autor artykułu o Asnyku „wtórnje całem sercem chórowi krytyków, uważających zmarłego poetę za pierwszorzędnego bogacza-stylistę, za mistrza słowa i rytmu." Zastrzega się jednak, że dalekim jest od bezwzględnego uwielbienia, bo ma na myśli — jak to już wspomnieliśmy wyżej — wzory, którym on nie dorównywa. Za taki wzór szan. profesor uważa Kornela Ujejskiego.

Naszem zdaniem przecie, jeżeli jest w polskiej poezyi artysta, zasługujący na uwielbienie bezwzględne, jako *mistrz rytmu*, to będzie nim z największem prawem Asnyk. „Maleńka ilustracya," przytoczona przez p. Bema, niczego nie dowodzi. Usterki, wskazane przez krytyka w rytmie piosenki „Ulewa," bodaj czy mogą być uważane za takie z punktu widzenia zasad budowy naszego wiersza, jak tego dowiedziemy niżej. W każdym razie Kornel Ujejski nietylko mógłby popełnić „takie," ale popełniał nawet o wiele znaczniejsze usterki. Aby twierdzenie nasze nie wydało się gołosłownem, pozwolimy sobie w obronie prawdy przytoczyć kilka przykładów, nie chcąc tem przecie bynajmniej osłabić czci, jaką winniśmy wszyscy autorowi „Dzwonów."

W wierszu Ujejskiego „Do mojej siostry," którego budowa od początku do końca jest amfibrachiczną, spotykamy następujący niezmiernie wadliwy dwuwiersz:

Jeśli mnie młodego grób zimny i głaz
Oderwie od czynu, od pieśni, od was!

Chcąc odczytać pierwszy z tych wierszy zgodnie z intencyą Ujejskiego w tonie amfibrachicznym (◡—◡), potrzeba zadać gwałt sobie i zaakcentować wbrew naturze języka w słowie „jeśli" ostatnią sylabę. W drugim wierszu zaakcentowaną została enklityka, zniesionym został akcent prawidłowy i zamiast naturalnego wymawiania: „*od* was" nakazanem zostało przez autora rażące: „od *was*."

Podobnie nieharmonijnym, grzeszącym przeciw metryce, jest trzeci wiersz w następującej strofie z „Syna Bólu.“

> I z białą twarzą, jak posąg nagrobny,
> On patrzał w niebo — a z bólu omdlewał.
> A kiedy nocny *chłód, co w nim powiewał*
> Streźwił mu zmysły, on gwiazdom zaśpiewał.

A oto jeszcze przykład nieodpowiedniości dwóch ostatnich wierszy z budową całości w utworze: „Cień i światło.“

> Zbladłeś kwiatku mój młody,
> Jakby żyć ci nie miło.
> Pewnie *na* twe jagody
> Słońce *nie* zaświeciło.

Usta wzdragają się akcentować mocno dźwięki: „na“ i „nie,“ jak tego wymaga autor.

W popularnych „Dzwonach“ znajdujemy cały szereg odstąpień od przyjętego w nich przez autora trochaicznego rytmu:

> Na atłasie piękna, cicha,
> Ręce trzyma w krzyż,
> Przez sen do mnie się uśmiecha.
> Oh! ty już nie *śnisz*.
> . . . . . . . . . . . .
> Takież moje ślubne łoże
> *I* ja w takim dniu..

Niemożliwością jest akcentować, jak nakazywałby rozmiar trochaiczny, dźwięki: „przez“ „i,“ oraz akcentować po negacyi, jak każe autor, jednosylabowe „śnisz.“ Akcentowanie zgodne z naturalną wymową w ostatnim wierszu dźwięku: „ja“ psuje zupełnie cały układ strofy.

W Jeremiaszu napotykamy jeszcze znaczniejsze uchybienie. Do wiersza:

> I rzekł Jeremiasz: „Gdzie źródła Hesbonu...“

nie pasuje zupełnie rymujący się z nim:

> I u *stóp jego* żałobnego tronu,

gdzie naraz na miejscu amfibracha pojawia się daktyl („stóp jego“: — ∪∪).

Ale chyba dosyć tych przykładów dla dowiedzenia, że Kornel Ujejski ma na swojem poetyckiem sumieniu pewne grzeszki przeciwko rytmice.

Dość zapytać się ucha, aby ocenić, iż te usterki, które wytyka Asnykowi szanowny krytyk w wierszu „Ulewa,“ posiadają znacznie mniejszą wagę. I owiemy więcej: nie psują one, jak tamte, harmonii wiersza i zgoła nie mogą być uważane za uchybienia przeciw zasadom budowy wiersza polskiego.

Wogóle należy mieć na względzie, że reguły naszej rytmiki mniej są surowe, niż np. reguły rytmiki rosyjskiej. Ta ostatnia, że się tak wyrażę, żąda absolutnej symetryi akcentowanych i nieakcentowanych głosek, nie zadawalając się równością ilości sylab. Sylaby akcentowane mają ściśle określone miejsce i ściśle określoną świtę z nieakcentowanych. Każda miara lub kombinacya miar powtarza się z konieczną prawidłowością. Są to bojowe szyki anapestów, jambów, trocheów, musztrowanych przez poetę. Daje to harmonię wzorową, jaka wynika zawsze ze ścisłości matematycznej, z symetryi, ale niekiedy nużącą i monotonną. Tymczasem w rytmice polskiej panuje większa swoboda i naturalność. Dość otworzyć Mickiewicza, aby się przekonać, że wiersz nasz ogromnie często na miejsce dwóch amfibrachów z trocheem używa w odpowiednim następnym wierszu czterech trocheów, kontentując się tym sposobem li tylko równością sylab (po osiem) i nie bacząc na to, że tym sposobem wierszowi o trzech akcentach odpowiada wiersz o czterech. Stało się to też już prawem poezyi naszej, że w wierszu trzynastozgłoskowym, po cezurze, równoważnym pod względem ilości zgłosek trzem trocheom, odpowiadają dwa amfibrachy. Dalej, gdy mamy kombinacyę amfibracha z dwoma trocheami, dozwolonem jest, jak tego dowodzą dziesiątki tysięcy przykładów — a mamy na myśli najświetniejsze wzory naszej poezyi — dowolnie zmieniać miejsce amfibrachu, tj. stawiać go bądź na pierwszem, bądź na drugiem miejscu. Ta ogromna swoboda w teoryi wydaje się czemś przeczącem harmonii. A przecież w poezyi niemieckiej spotykamy przykład podobnie swobodnych praw, jakkolwiek w innym zakresie. Rytmika niemiecka, naprzekór polskiej, żąda równej ilości akcentów w odpowiednich wierszach, zezwalając natomiast na różnicę ilości sylab. Prawo równości sylab wiersza francuskiego przerażało niemieckiego poetę Heinego; pisanie wierszy w tym języku — powiadał on — uważałbym za krępowanie myśli kaftanami dla waryatów. My przeciwnie brak albo nadmiar sylaby uważamy za straszne kalectwo wiersza.

Wskazana wyżej swoboda, panująca w rytmice polskiej, tylko na pozór wydaje się przywilejem. *Wolno* zamieniać pewne kombinacye miar na równoważne im pod względem ilości sylab; nie znaczy to jednak, że *należy* je zamieniać zawsze, oraz że *można* je zamieniać na wszelkie równoważniki. Istnieją pewne prawa tej zamiany, ale bodaj czy dają się one określić w teoryi. Są to prawa harmonii, dostępne tylko dla wysoce wykształconego ucha i poetyckiego smaku. Jakość dźwięków, twardość ich lub płynność, zbieg spółgłosek, budowa strofy, cały ton wiersza, ba! sens zdań i jakość przedstawianych obrazów — stanowią w każdym wypadku o możliwości wskazanej zamiany. I oto owo wysoce wykształcone ucho i subtelny artystyczny smak stanowiły właściwość Asnyka w znacznie wyższym stopniu, niż wszystkich innych naszych poetów. To właśnie, niezależnie od tego, że stworzył on cały szereg nowych misternych układów strof i rytmów, zawsze odpowiednich duchowi wiersza, sprawiło, że krytycy jednogłośnie niemal okrzyknęli go mistrzem rytmu.

Powróćmy do mniemanych usterek Asnyka w wierszu „Ulewa“ i rozpatrzmy je w powyższem oświetleniu. Jednostajny, poważny, umyślnie powolny rytm zda się malować szum ulewy, przeciągły jej hałas.

> Na szczytach Tatr, na szczytach Tatr,
> Na sinej ich krawędzi
> Króluje w mgłach świszczący wiatr,
> I ciemne chmury pędzi.

Twierdzić, że 22-gi wiersz „głośniej się potok gniewa,“ jak to czyni p. Bem, zawiera usterkę rytmu, jest to samo, co przyznać, że ballady Mickiewicza są zbiorami tego rodzaju usterek. Niezależnie od tego, że natrafiamy tu tylko na właściwą polskiej rytmice zamianę miejsca amfibracha (zamiast ∪ — /∪ — ∪/ — ∪/ mamy — ∪/∪ — ∪ — ∪), a bynajmniej nie na wprowadzenie daktyla na miejsce jambu, zamiana ta tłomaczy się doskonale zmianą obrazu „Głośniej się potok gniewa“ — jest to jak gdyby końcowy akord, jak gdyby ostateczny wniosek, wypadkowa minionych obrazów ulewy. Energiczniejszy, żywszy ton ostatniego wiersza, akcentujący pierwszą sylabę, stanowi doskonałą harmonię z myślą poety i świetne zakończenie utworu.

Równie niesłusznie wytyka autor artykułu Asnykowi zaakcentowanie enklityki we wcześniejszym 12-ym wierszu: „Rozpłynął *się* w równinę.“ Jakkolwiek „się“ zazwyczaj nie akcentuje się, obraz malowany przez poetę w przytoczonym wierszu zmusza do wymówienia całego wiersza uroczyście, poważnie, w jakiś przedłużony sposób, co mimowoli wywoła pewien nacisk na sylabie „się,“ zupełnie usprawiedliwiający jej zaakcentowanie, zwłaszcza że w całej budowie wiersza przeprowadzone jest systematycznie mocniejsze akcentowanie jednego tylko z trocheów, najczęściej drugiego z kolei („w równinę,“ „krawędzi“).

Wreszcie pozwolimy sobie rzucić pewne dość śmiałe twierdzenie. Naszem zdaniem, szanowny profesor wierszowi „Ulewa“ przypisuje niesłusznie rytm jambiczny. My upatrujemy w nim kombinacyę amfibrachów z trocheami, przyczem sylaby nieakcentowane trochejów pierwszego wiersza zastąpione są przez pauzy. Miara więc będzie następująca:

∪ — ∪ | — + || ∪ — ∪ | — +
— — ∪ | — ∪ | — ∪

co pozwoli już stanowczo na wprowadzenie w parzystych wierszach miary następującej:

— ∪ | ∪ — ∪ | — ∪

Twierdzenie to opieramy na tem, że analogiczne wiersze jambiczne w rosyjskim języku nie posiadają wcale cezury, lub posiadają ją w innem miejscu (np. Moj diadia samych czestnych prawił, kaga nie w szutku zanemog), podczas gdy cezura nieparzystych wierszy utworu „Ulewa“ jest koniecznością i przypada w miejscu, gdzie następuje w deklamacyi pauza dłuższa, niż przy zwykłej cezurze. Dalej pozwalamy sobie mniemać, że wogóle język nasz, wobec niezmienności akcentu (na przedostatniej sylabie), nie posiadając w materyale swoim naturalnych jambów, anapestów i daktylów (naprzekór językowi rosyjskiemu, który ma słowa, stanowiące z natury te stopy: „ruka,“ „czełowiek,“ „bezpłodnaja“) — tylko sztucznie, z wysiłkiem, nałamywany bywa do jambów, anapestów i daktylów.

Odszukanie wiersza jambicznego u Mickiewicza stanowi wielką trudność. Anapestów nie spotykamy w jego poezyi wcale. Nawet o ściśle daktyliczny wiersz trudno. Największy nasz wieszcz zadawalał się amfibrachami i trocheami, kombinując je rozmaicie, a przecie nikt go o ubóstwo nie posądzi. Powtarzamy, że zgodnie z duchem naszej poezyi, dbałej przedewszystkiem o ilość zgłosek, zmienił on miejsce amfibracha, stawiając go raz przed trochejem, a drugi raz za nim, podobnie jak dwa amfibrachy i trochej zamieniał na cztery trocheje. Wobec tego, że amfibrach stanowi naturalny materyał słowny naszego języka, ten punkt widzenia wydaje nam się słuszniejszy, niż przypuszczenie, że Mickiewicz przeskakiwał dowolnie od jednej miary do drugiej, różnej, tj. od amfibrachów do daktylów, jak to wypadłoby w razie odrzucenia naszego poglądu*). Tym sposobem trzynastozgłoskowy wiersz *Pana Tadeusza* przedstawia się nam np. w takich formach równoważnych:

∪ — ∪ | — ∪ | — ∪ || ∪ — ∪ | ∪ — ∪ |
— ∪ | ∪ — ∪ | — ∪ || ∪ — ∪ | ∪ — ∪ |
— ∪ | — ∪ | ∪ — ∪ || ∪ — ∪ | ∪ — ∪
∪ — ∪ | — ∪ | — ∪ || — ∪ | — ∪ | — ∪ itd.

Zresztą pogląd to może za śmiały. Wersyfikacya nasza, zwłaszcza w swoich najmłodszych przedstawicielach, stara się o coraz większą symetryę miar, o coraz większe bogactwo rytmów i zdobywa się niekiedy nawet na piękne anapesty, zręcznie nałamując do nich mowę. Zamykanie rytmiki polskiej w granicach dwóch miar: amfibrachu i trocheu mogłaby ona poczytać za zamach na postęp wersyfikacyi.

A nietylko nie mam zamiaru przeczyć, lecz przeciwnie uważam, że nie oceniono u nas dotąd wcale faktu rozwoju wiersza tak pod względem rymu, jak i rytmu. Wydaje się nam dzisiaj, że wynalezienie dobrego rymu dla poety, zwłaszcza wielkiego, przedstawia rzecz niesłychanie łatwą. A przecie i tutaj czas, epoka, grają wielką rolę. Studyując rymy „Trenów“ Kochanowskiego z uwagą, dostrzeżemy że

*) Porówn. pierwszy i trzeci wiersz „Świtezianki.“

zdziwieniem, że używał on ze spokojnem sumieniem czasami na przeciągu kilkunastu wierszy tak zwanych rymów „częstochowskich,“ gramatycznych. W dzisiejszych czasach redaktor gazety otrzymawszy „Treny,“ a *rzuciwszy okiem tylko na rymy*, zwróciłby je autorowi, jako niekwalifikujące się do druku! Porównywając rymy Mickiewicza z rymami Kochanowskiego, spostrzegamy, że w sztuce rymowania zaszła olbrzymia ewolucya. Czas położył widome piętno na kunszcie poetyckim.

Dlatego poważyliśmy się Asnyka nazwać mistrzem rymu i rytmu, nieobawiającym się porównania *pod tym względem* z żadnym ze wzorów przeszłości. Misterność i zręczność jego rymu, bogactwo i nowość jego rytmów wskazują, że uczynił on jeszcze krok jeden dalej na polu wersyfikacyi. Nie ujmuje to przecie ani jednego blasku słońca naszej poezyi — Mickiewiczowi. Geniusz nie zblednie nigdy, cokolwiekby uczyniła przyszłość, która, otrzymawszy nieprzebrane po nim dziedzictwo, z większą łatwością podąża naprzód.

Zresztą w poezyi strona zewnętrzna nie jest wszystkiem i nigdy nią być nie może. Rozmaici ekwilibryści rymu i kuglarze rytmu siłą się dziś na rymy trudniejsze i wyszukańsze, na rytmy oryginalniejsze i sztuczniejsze, niż te, które napotykamy u Asnyka. Dotąd nie przewyższyli go, ale gdyby się to nawet stało, nie osiągną palmy pierwszeństwa, dopóki w parze z świetnością wersyfikacyi nie będzie iść u nich smak estetyczny, poezya uczucia i głębia myśli. Tylko harmonia formy i treści zapewniła zmarłemu niedawno poecie wzniosłe stanowisko w literaturze.

*Leo—Belmont*

## W DALI.



**Płock.** Od roku przyszłego przybywa w gubernii Płockiej nowy podatek, obciążający właścicieli posiadłości ziemskich i miejskich, oraz kupców i przemysłowców, pod nazwą „podatek lekarski gubernialny.“ Uchwała Rady państwa postanowiła: I) Utworzyć, tytułem próby, w gub. Płockiej, pod zarządem rad dobroczynności publicznej: powiatowych i gubernialnej, zarządy lekarskie okręgowe. II) Na pokrycie wydatków, na utrzymanie i dalszy rozwój pomocy lekarskiej ludności gubernii ustanowić: 1) specyalny podatek od miejscowej ludności na zasadach niżej wymienionych i 2) opłatę za lekarstwa od przychodzących chorych w wysokości 10 kop. od każdego chorego. III) Ustanowiony podatek pobierać, zaczynając od 1 stycznia 1898 r., na zasadach następujących: *a*) od właścicieli ziemskich 5% od podatku gruntowego głównego; *b*) od właścicieli miejskich 10% od podatku podymnego i kontyngensu; *c*) od handlujących i przemysłowców 5% od ceny patentów handlowych i przemysłowych, a nadto od patentów na wyrób napojów, podlegających opłacie akcyzy. IV) Podatek dołączyć do specyalnych funduszów Rady dobroczynności publicznej gubernialnej płockiej pod tytułem „Podatek lekarski gubernialny.“ Podatek opłacać mają w kasach: właściciele ziemscy i miejscy jednocześnie z podatkiem, od którego obliczono, a kupcy i przemysłowcy przy wykupywaniu patentów. Wszyscy chorzy, umieszczani w lecznicach gub. Płockiej, utrzymywani będą bezpłatnie. Koszt utrzymania ośmiu lecznic obliczono na rs 26,640, a mianowicie: pensya 8 lekarzów po rs. 900, ośmiu felczerów po rs. 240, felczerkom-akuszerkom po rs. 360, rozjazdy 1,600 rs., utrzymanie lecznic, najem lokalu, opał, światło, życie, bielizna, obuwie, odzież itd. po rs. 1,100, na lekarstwa po rs. 100, na instrumenty, przyrządy apteczne itd. po rs. 45, na wydatki kancelaryjne po rs. 35, na lekarstwa dla ambulatoryum po rs. 100 itd.

**Lublin.** Przed kilku laty rzemieślnicy miejscowi opracowali projekt ustawy Towarzystwa wzajemnej pomocy i przedstawili go gubernatorowi w celu wyjednania zatwierdzenia u władzy wyższej. Przy opracowaniu ustawy miano na względzie nietylko pomoc pieniężną, ale i moralną, także kształcenie się za pośrednictwem prenumeraty pism ogólnych i specyalnych, zaprowadzenia biblioteki dzieł specyalnych, stałych odczytów i wreszcie — cel towarzyski zabaw. Wszystko to nie doszło do skutku, prócz prawa na urządzenie zabaw, po wyjednaniu właściwego zezwolenia. Dopiero przed miesiącem pełnomocnicy 86 założycieli Towarzystwa otrzymali już zatwierdzoną przez ministeryum spraw wewnętrznych ustawę, w której w 84 paragrafach wyłożone są cele instytucyi, obowiązki i zadania członków. Cały oddział finansowo-ekonomiczny Towarzystwa wzajemnej pomocy pozostał w pierwotnej redakcji, w innych zaś zapowiedziano zmiany. Członkowie dzielą się na honorowych, protektorów i rzeczywistych, a ci ostatni opłacają rocznej składki rs. sześć, mogą korzystać z pożyczek i zapomóg i opiekować się wdowami i sierotami po współtowarzyszach. Urzędownie nowa instytucya nazywa się „Towarzystwem wzajemnej pomocy rzemieślników i handlujących m. Lublina“; może mieć nieograniczoną liczbę członków, przyjmować ofiary i legaty; czynności biurowe i rachunkowość musi prowadzić w języku urzędowym. Na pierwszem zebraniu ogólnem wybrano już członków zarządu; nadto uchwalono, ażeby kasyer Towarzystwa z funduszów instytucyi nie trzymał u siebie więcej, niż 500 rs. gotowizną i ażeby reszta funduszów składana była w kasie pożyczkowej przemysłowców lubelskich na rachunek bieżący.

## PRASA ROSYJSKA.



Z powodu przyjazdu Najjaśniejszych Państwa do Warszawy, pisma rosyjskie zaczęły obszernie mówić o położeniu Polaków i ścisłem zespoleniu ich z żywiołem rosyjskim. Szybkie zbliżenie się do tego zespolenia prasa owa widzi w usposobieniu i dążnościach pojednawczych narodu polskiego, usilnie okazywanych. Oto co *Swiet* mówi:

„W życiu państwowem wszystko ma swoje następstwa, jedno wypływa z drugiego. Jasnem jest, że polityka Cesarza Aleksandra III, która co do naszych kresów zachodnich przyznawała jedną wspólną dla wszystkich ojczyznę, która nie rozdzielała i nie rozczłonkowywała jedności państwowej, polityka ta była bez zarzutu i doprowadziła obecnie Polaków do radosnego wyrażenia uczuć u podnóża tronu swojego Monarchy.

Zarządzanie krajem feldmarszałka Gurki i hr. Szuwałowa dało przeto wyborne owoce. Ci ludzie państwowi, idąc za wskazówkami swych Cesarzów, zjednali serca Polaków dla Monarchy i dali możność złagodzenia stosunków na naszych kresach zachodnich, które ostatecznie muszą zlać dwie narodowości słowiańskie — rosyjską i polską — w jeden organizm. Jest to najlepszem świadectwem racyonalności poglądów w Bogu spoczywającego Monarchy, który mocno trzymał w rękach sztandar jedności.“

W innym artykule z powodu mowy margr. Wielopolskiego *Swiet* pisze:

„Należy się trzymać stale jednego programu, który prowadził i prowadzi do pomyślnych rezultatów. Nad Wisłą niezbędne są ulepszenia w machinie administracyjnej. Utrwalone zaufanie daje możność postawić ludność w takim stosunku do administracyi, w jakim stoi w całej Rosyi. Tym sposobem będzie zadość ogólnemu życzeniu, a przytem na korzyść ogólną; ale nic nie może być naruszone w zarządzie i języku, nic nie może być naruszone, co szkodzić będzie jedności państwa.“

## KRONIKA.

**Wiadomości społeczne.** D. 26 sierpnia uczczono pamięć Andriollego, zmarłego w Nałęczowie 23-go sierpnia 1893 r. Na cmentarzu wobec sporej gromadki publiczności dyrektor zakładu miejscowego wygłosił mowę, poczem złożono na grobie artysty wspaniały wieniec, orkiestra zaś odegrała marsz żałobny Chopina.

— Antykwaryusze warszawscy otrzymali z Londynu wiadomość, że tamtejszemu zbieraczowi autografów i dokumentów historycznych, Grellowi, skradziono nader cenne autografy polskie: listy generała Dąbrowskiego, Staszica i Tadeusza Kościuszki. Poszkodowany mniema, że złodziej będzie chciał owe listy sprzedać w Warszawie, prosi więc o zwrócenie pilnej uwagi na osobistość sprzedającego.

**Szkoły.** Do szkoły technicznej w Moskwie zgłosiło się 373 kandydatów, a może być przyjętych tylko 120. Z tej liczby 10%, tj. 12 Polaków.

— Szkoła realna kolska w roku ubiegłym, pod przewodnictwem sześciu nauczycieli, miała 71 wychowańców, w tej liczbie 49 katolików i 22 Żydów.

— W szkole handlowej Rontalera zostali mianowani z urzędu dyrektor i inspektor, pp. Kosteckij i Boborykin; tytułem pensyi dla nich szkoła ma wypłacać rs. 8,000; do składu weszły nowe siły, pp. Berger (język angielski), Fegler, Sudzik i Erdel (niemiecki), Rękawek (matematyka). Oprócz tego będą mianowani dwaj profesorowie historyi i geografii powszechnej, którzy nie mogą być wybrani z pośród nauczycieli miejscowych. Trzeci oddział równoległy przy wstępnej wyższej klasie na mocy pozwolenia ministeryum skarbu został otwarty, jak również i klasa trzecia. Lekcye rozpoczynają się 13 września.

— Z 1,100 kandydatów do Instytutu technologicznego w Petersburgu wybornie zdało egzamin 400 że zaś miejsc wolnych jest tylko 123, więc zakład poczyni starania o otwarcie kursów równoległych.

— Do Instytutu lekarskiego dla kobiet przyjęto 165 z 400 kandydatek. Kursy rozpoczną się 27-go września.

**Metryka Wincentego Pola.** *Wiek* podaje następującą ciekawą notatkę: „Przeszło już nawet do podręczników literatury, że Wincenty Pol, autor cudownych „Pieśni Janusza“ i „Mohorta,“ urodził się we wsi Tatarach pod Lublinem, mianowicie na folwarku „Firlejowszczyzna“ zwanym, więc na czasie będzie przypomnieć, iż tak nie jest. Wincenty Pol bowiem urodził się dnia 20 kwietnia 1807 roku, nie na „Firlejówce,“ lecz w samym Lublinie, w domu pod nr. 111. Obecnie dom ten, zdaje się, nie istnieje, gdyż w r. 1823 został zwalony i na nowo w tem miejscu postawiony, a dziś nosi nr. 111 9. Ojciec Wincentego (pisał się Pohl i był rodowitym Niemcem) był właścicielem folwarku Firlejowszczyzna i stąd właśnie podanie o urodzeniu się tam poety powstało. Jednocześnie tenże Pohl był również urzędnikiem austryackim w Lublinie, radcą austryackiego sądu szlacheckiego lubelskiego i mieszkał w chwili urodzenia się Wincentego w Lublinie przy ulicy Grodzkiej, w domu pod wskazanym numerem. Matka poety nazywała się Eleonora de Longchamps. Syn ich otrzymał imiona: Wincenty, Feraryusz, Jakób. Rodzicami jego chrzestnymi byli: Karol hr. Scipio, dziedzic dóbr klucza Bychawskiego, i Nerona z hr. Scipionów Grabowska. Chrzcił ks. Wincenty Jezierski, oficyał lubelski. Zaświadcza o tem akt urodzenia poety, znajdujący się przy parafii katedry lubelskiej.“

**Prasa.** Udzielono koncesyę na wydawanie w Łodzi pisma polskiego. Do cenzurowania przysłany będzie osobny cenzor z Petersburga.

— Nowy tygodnik *Życie* zacznie wychodzić w Krakowie od 20 b. m. pod redakcyą p. Ludwika Szczepańskiego. Poświęcony będzie sprawom artystycznym, literackim, społecznym i naukowym.

**Wystawy i zjazdy.** Kurlandzkie Towarzystwo pszczelarskie otwiera w końcu b. m. w Mitawie wystawę pszczelniczą, która obejmować będzie sześć działów: 1) ule (modele i rysunki), 2) inne przyrządy pszczelarskie, 3) produkty pszczelarskie, 4) pszczoły, 5) literatura pszczelarska i 6) rośliny i nasiona miodowe.

— Kongres lekarski we Lwowie uchwalił jednomyślnie dopuszczenie kobiet do zawodu farmaceutycznego.

**Przemysł i handel.** Ministeryum rolnictwa wydawać będzie pożyczki gminom, ziemstwom i hodowcom pojedynczym na kupno doborowych gatunków bydła.

— Nowe przepisy o kredycie sola-wekslowym dla rolników w Banku państwa usuwają wiele krępujących dotąd formalności, np. nie żądają ścisłego sprawdzania celu pożyczki, żądają przeglądu ma-

jątku tylko w razach wyjątkowych i podnoszą skalę kredytu.

— Powstaną posady etatowe ogrodników gubernialnych i ich pomocników dla czuwania nad rozwojem wszelkich plantacyj publicznych w miastach i osadach. Nadto ogrodnicy ci będą zobowiązani do peryodycznych objazdów gmin w celu udzielania wskazówek włościanom przy zakładaniu sadów owocowych.

— Kosztem kilku wybitniejszych firm pruskich powstanie w Warszawie agencya wywiadowcza w celu sprawdzania urodzajów oraz cen zboża w Królestwie Polskiem, w guberniach: Grodzieńskiej, Mińskiej, Wileńskiej i Kowieńskiej.

Zmarli. Antoni Ślosarski, w Warszawie, magister nauk przyrodniczych b. Szkoły Głównej, wydawca *Wszechświata.*

### Odpowiedzi Redakcyi.

*Jednemu z czytelników.* Obie uwagi Pańskie są bardzo słuszne, ale należą do tego szlachetnego grochu, który daremnie byłoby rzucać na twardą ścianę dziennikarską.

*Panu B. T. K. w Wilnie.* Wiersz Pański nie posiada żadnej wartości artystycznej.

*Dr. H.* O d-ra Higuiera.

— **Kursa pszczelniczo-ogrodnicze.** Zarząd Towarzystwa Pszczelniczo-Ogrodniczego niniejszem zawiadamia, że w dniu **15 ym września** rozpoczyna jesienne praktyczne kursa pszczelniczo-ogrodnicze, trwające jednakże przez rok cały. Na kursach tych zawsze wykładane bywają: pszczelnictwo w całym zakresie, nie pomijając budowy uli; z ogrodnictwa—sadownictwo, warzywnictwo i kwiaciarstwo, a jako dopełnienie powyższego: miodosytnictwo, wyrób win owocowych, oraz innych przetworów z owoców lub warzyw. Na kursa uczęszczać mogą kobiety i mężczyźni bez różnicy wieku od lat 16. Co do mężczyzn, pragnących w przyszłości traktować ogrodnictwo i pszczelnictwo jako zawód, oddaje się pierwszeństwo tym, którzy już mają jedno lub dwuletnią praktykę w ogrodach wiejskich; tacy bowiem z większą łatwością korzystają z kursów.

— **Kursa dwutygodniowe.** Niezależnie od kursów stałych, cały rok trwających, w r. b. pozwoli Zarząd Tow. korzystać z praktycznych zajęć przy przerobach owocowych, jakie się odbywać będą w Muzeum Towarzystwa od 15 września przez dwa tygodnie. Na praktykantów w tym dziale zapisywać się z pożytkiem mogą zwłaszcza panie gospodynie. Do praktycznych zajęć przy przetworach owocowych włączone będą: miodosytnictwo, wyrób win owocowych, suszenie owoców, robienie z nich powideł, konserw i marmolad, suszenie warzyw, przechowywanie owoców... Zajęcia praktyczne oparte będą na zasadach naukowych. Opłata za prawo brania udziału w powyższych praktycznych zajęciach w ciągu całych 2-ch tygodni wynosi 5 rs.

— Skutkiem trudności zabrania dużego pakunku w daleką podróż, sprzedam **roczniki „Prawdy“ z ostatnich 15 lat za 30 rs.** z przeznaczeniem tej sumy na cele dobroczynne.



## OGŁOSZENIA.




Redaktor i wydawca **dr. fil. Al. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою. Варшава 29 Августа 1897 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.